Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 38

LEON KALTENBERGH

25 lat od śmierci Tołstoja

Chrystjanizm à la Russe. - Moralizator i artysta. - Istota rosyjskości pisarza

1.

„Dziwnym zbiegiem okoliczności, nie doszło do żadnego porozumienia w sprawach najistotniejszych pomiędzy Tołstojem, a najbliższymi. Odpychająca obcość środowiska najbardziej bezpośredniego, wpływała ujemnie nietylko na pracę, ale i na stan zdrowia schorowanego pisarza. Krótkie przebłyski — odzyskiwanie na chwilę — serdecznego kontaktu z rodziną — pogłębiały tylko rozdźwięk, trwający dalej".

Tylko tyle mówi córka pisarza, p. Suchotin - Tołstoja o nastrojach, panujących w domu w Jasnej Polanie, poprzedzających katastrofę. Jednakże ów „zbieg okoliczności" może nie był taki dziwny. Bo konflikt z rodziną zahaczał o podstawy działalności Tołstoja, o jego *credo* społeczne, narastając przez wiele lat, aż do roku 1910.

Ten rok miał się stać dla Tołstoja kreską ułamkową, pod którą wreszcie zechciał rzeczowo i sumiennie wpisać mianownik dotychczasowego życia. Wychodząc z domu, myślał o czynnej wreszcie, a nie — jak dotąd — passywnej propagandzie najświętszej i najważniejszej prawdy życiowej: chrystjanizmu, opartego o sprawiedliwy podział realnych, ziemskich dóbr. Miał zacząć od siebie. Wychodząc, zostawił brudnopis aktu darowizny na rzecz chłopów z Jasnej Polany. Wróciwszy do niej w trumnie, nie mógł powrócić do leżącego na biurku papieru, dla przepisania go na czysto i porobienia poprawek.

2

Ewangeliczny anarchizm Tołstoja w jego stałym rozwoju, ktoś nazwał przełomem. Kiedy i jak dokonywał się przełom, jakie bodźce zewnętrzne wpłynęły na konstytuowanie się tego właśnie poglądu, popartego kolosalną kulturą religjoznawczą — dla badaczy wielkiego rosyjskiego pisarza pozostawało do ostatnich czasów niewiadome. Pewnie, był i wpływ Siutajewa i wielu innych rosyjskich sekciarzy; jednakże, przedewszystkiem poszukać należy bodźca w samej strukturze psychicznej pisarza i w jego postawie wobec rzeczywistości. Już w „latach dziecięcych" występuje skłonność do dygresyj moralistycznych i ogólno-etycznych.

W ankiecie zaś uniwersyteckiej 18-letni Tołstoj wymienia jako najbardziej ulubionych — Jana Jakóba Rousseau, Ewangelję, Turgenjewa, Grigorowicza. Ci dwaj ostatni wskazują w jakim stopniu ważny dla późniejszej twórczości pisarza okazał się pierwiastek ludowy. W końcowym etapie działalności ciągle jeszcze będzie brał górę nad innemi elementami właśnie ten — zaakcentowany najsilniej w „Ludowych opowiadaniach" (Narodnyje razskazy).

5-go marca 1858-go roku, zapisuje Tołstoj urywkowo i fragmentarycznie w swoim pamiętniku kilka uwag odnoszących się do tekstu Pisma i rzuca myśl, którą powierzchowni krytycy i czytelnicy wynieśli do godności tezy podstawowej: *niesprzeciwianie się złu.*

Po latach myśl ta miała się stać hasłem pseudotołstojowców.

Jednakże, „niesprzeciwianie się złu" — to nie podstawowe założenie, tylko etap, na drodze ewolucji dotychczasowej psychiki człowieka. To dobrowolne pokonanie w sobie pewnych — z punktu widzenia Tołstoja — szkodliwych reakcyj. Szkodliwych społecznie. Problem kary i zemsty, problem odrodzenia przez przebaczenie.

Jeżeli zakiełkował już w roku 1858, to gdzież szukać przełomu? Zdaje się raczej, że ostateczne konkluzje moralno - społeczne Tołstoja — to tylko konsekwencja poprzednio sformułowanych i przemyślanych rozwojowych etapów. Poprostu, przełomu nie było.

3.

Problemy psychologiczne, etyczne — rzadziej estetyczne, to pozaliteracka zawartość ostatnich prac Tołstoja. Charakter tych prac — wybitnie publicystyczny, a w niektórych wypadkach — polemiczny. I w tych właśnie ostatnich pracach, chcą niektórzy zmieścić „całego" Tołstoja, artystę, moralistę i psychologa. Jeżeli się zważy, że zasadnicze tezy pisarza ulegały w miarę rozwoju zmianom, ale nigdy prawie zmianom jakościowym —. pogląd to z gruntu fałszywy.

Tołstoja, jako pisarza, jako artystę, charakteryzuje zwarta logiczność i konsekwencja sytuacyj, charakterów i kompozycji. Obok bujnej, niesamowitej niemal rozrzutności w stosunku do tła, do sztafażu, występuje syntetyzm, jeżeli chodzi o sytuacje o napięciu dramatycznem. Tak jest i w „Potędze Ciemnoty" i w „Wojnie i Pokoju", tak i w ostatnich — najgłębszych może psychologicznie utworach — „Mieszyn", „Śmierć Iwana Iljicza" lub „Chodźcie po świecie, póki światło macie w sobie".

Wysuwająca się na plan pierwszy w „Wojnie i Pokoju" masa, jako to, co stanowi właściwą dźwignię historyczną z jej czołowym przedstawicielem Kutuzowym, wielkim, bo związanym z nią plemiennie i instynktowo, rozpada się przecież na tysiące samodzielnych ustrojów — staje się zbiorowiskiem jednostek — gdy autor zaczyna analizować. A robi to zawsze. Ale i wtedy, wspólnota tych jednostek zmuszająca je do stania się masą nie jest przypadkowa. Motywacja wyraża się przez fakty — nigdy przez ekspozycję.

Gdy Tołstoj wystąpił jako debiutant ze swojemi opowiadaniami o obronie Sebastopola, opowiadaniami nacechowanemi silną pacyfistyczną tendencją, malującemi wojnę — jako zbiorową zbrodnię, młody pisarz zawdzięczał entuzjazm wywołany owemi publikacjami nie tyle tendencjom i zawartości treściowej, co opanowaniu językowo - stylistycznego warsztatu techniki pisarskiej. Tołstoj wystąpił z prostotą i pozostał przy niej do końca. „Styl prosty jest podobny białej jasności" — pisze Anatol France. „Jest złożony, ale nie daje tego poznać po sobie". Tak właśnie można scharakteryzować technikę pisarską Tołstoja najpełniej. Prostota w podchodzeniu do zjawisk elementarnych i kosmicznych, grubo - materjalnych i najsubtelniejszych — to stała metoda, której się trzymając osiąga pisarz swoje najbardziej uderzające opisowe lub dramatyczne efekty. Epika i dramat tworzą nieustannie splatający się łańcuch. Większość utworów Tołstoja — bez względu na to, czy są to dzieła z tezą, jak się ma sprawa ze „Zmartwychwstaniem" — czy drobiazgi epickie („Mieszyn") — to spowiedzi poprzedzone długiemi rachunkami sumienia. Spowiedzi nie podmiotowe — ale wysłuchane w ciągu życia w najbardziej tajemniczym konfesjonale: w wielkiej cerkwi przyrody, gdzie innego charakteru nabierają postępki ludzi i zwierząt. Ci pierwsi, tracąc naturalne podłoże, stają się zwierzętami.

4.

Sztuka — jako przedmiot teoretycznych rozważań istnieje dla Tołstoja tylko w związku z innemi, bardziej istotnemi zajwiskami duchowego życia. Założenia sztuki, jej zadania, jej wreszcie oddziaływanie na odbiorcę — łączy Tołstoj ciągle z temi przejawami życia, które kształtując w odpowiedni sposób psychikę danej zbiorowości pozwalają na taką lub inną produkcję artystyczną.

Charakter moralistyczny jego rozważań, zawartych w osobnej broszurze pt. „Co to jest sztuka" — wynika konsekwentnie z poprzedzających tę broszurę prób zetknięcia się bliżej z rozwijającą się właśnie nową sztuką Zachodu — symbolizmem.

Skłonność do kpin z wyczynów „modernistów" tłumaczy się bliskością naturalizmu, którego i w metodach twórczych i w istotnych, społecznych wartościowaniach dzieł sztuki był pisarz zwolennikiem, jakkolwiek stał daleko od Zoli i jego szkoły w czasie jej najświetniejszego rozwoju.

Podnosi się często „rosyjskość" Tołstoja, opartą o czysto - zewnętrzne akcesorja: długie włosy i broda, rubaszka i długie buty. Nie w tem jednak tkwi istotna cecha „rosyjska" — jeżeli tak się wyrazić można — Tołstoja. Przecież i Lelewel nosił robotniczą bluzę i czapkę. Specyficzność, wyłączność niektórych cech pisarza charakteryzują raczej jego samego, a nie szczep do którego należy. Rosyjskiem u Tołstoja, obok bujności natury — od używania do pokuty — jest *wybitnie analityczna, postawa wobec transformowanej artystycznie rzeczywistości.* Pęd do wyczerpujących rozważań prowadzących do uznania za logiczną konieczność dotychczasowego rozwoju ludzkości — rewolucji moralnej, dokonywującej się indywidualnie, na platformie zmodyfikowanego chrystjanizmu, podobnie, jak problemy podziału dóbr i pracy stoją w wyraźnym związku z socjalizmem — oto założenia, które stały się punktem nie wyjścia — ale dojścia Tołstoja. W tem świetle blednie nacjonalizm pisarza, cechujący go w epoce „Wojny i Pokoju". Wypadki związane bezpośrednio z rokiem 1905-tym także nie przeszły bez echa. Tołstoj — to już nie nacjonalista, a jeszcze nie internacjonalista, gdy dochodzi kresu swojej wędrówki.

5.

Na pagórku, pod Jasną Polaną, nad grobem Tołstoja zaczynają w tej chwili już żółknąć brzozy. Otwarty widok na pola przesłania tu i ówdzie dym pobliskiego kołchozu.

Dwadzieścia pięć lat temu, nocą, gdy zaczynał już zwolna padać śnieg, Tołstoj wyszedł z dworu po to, żeby umrzeć na zarzuconej na mapie Rosji nieznanej aż do dnia, w którym się rozegrał ostatni akt, i scena tragedji rodzinnej — stacji Astapowo.

I rok ten, rok śmierci ostatniego głosiciela ewangelicznej Rosji stoi granicznym kamieniem między nią a Rosją po latach 25-ciu.

Narastające burze przeszły w huraganowy chaos, który w bólu rodzi nowy świat.

Epigoni ideologiczni Tołstoja wymierają wolno i cicho na emigracji. Epigonów artystycznych nie stworzył. Ci, którzy przegryźli się przez warsztat literacki Tołstoja, wszyscy prawie dzisiejsi więksi prozatorzy rosyjscy — tworzą bez wzorów. Warsztat Tołstoja nie ciąży. Przeciwnie: unosi. Bazaltowym słupem trwa w lesie kolumn rosyjskiego i światowego piśmiennictwa.

Francuzi o literaturze sowieckiej

Literatura sowiecka nie istnieje. Jest mitem, iluzją, mirażem stepowym. Jest jednem z najbardziej charakterystycznych oszukaństw Z. S. R. R. Zapowiadają i obiecują nam ją od piętnastu lat, ale też na tych obietnicach się kończy.

Pojęcie literatury komunistycznej — pisze jeden z tygodników paryskich — jest dylematem, z którego niema wyjścia: bo albo jest komunizm i niema literatury, albo jest literatura i wtedy wcale nie jest komunistyczna. Podobnie jak kwadratura koła lub kamień filozoficzny, należy literatura sowiecka do problemów, które dotychczas nie znalazły rozwiązania. Program pod hasłem „sowiety wszędzie", nie powiódł się co najmniej pod jednym względem: oto Muzy pozostają głuche na wszelkie nawoływania.

Nie mogła literatury Z. S. R. R. spotkać większa kompromitacja, jak ta, która ją spotkała przez publikację „Antologji literatury sowieckiej" w jednem z wydań „Nowego Przeglądu Francuskiego" *(Nouvelle Revue française)*. Antologja ta jest najskuteczniejszą pracą antykomunistyczną, jakiej dokonano w ciągu ostatnich miesięcy.

Jest nią nietylko dlatego, że wszystkie składające się na nią utwory przedstawiają wartość bardzo przeciętną. Jeśli współcześni nam spadkobiercy wielkich Rosjan XIX wieku dorastają conajwyżej Maupassant'a, to zato nie można winić Stalina. Taksamo jak nie gloryfikuje się tego lub innego cara z tego powodu, że za jego panowania przyszedł na świat Puszkin czy Gogol. Bo genjusz literacki jest jak miłość. Rodzi się kiedy mu się podoba i śmieje się z „ukazów" jakichkolwiek reżimów. Ale Republika sowiecka pretendowała do produkowania literatury komunistycznej, podobnie jak to usiłowała czynić z rolnictwem i przemysłem komnistycznym. Na nieszczęśąie jednak, literatura i komunizm są pojęciami nie do pogodzenia z sobą.

Marek Slonim, tłumacz i komentator antologji o której mowa, podaje nam w formie niezmiernie interesującego opowiadania całą historję literatu ry Rosji sowieckiej od 1918 aż do 1935 roku. Pięćdziesiąt stron jego wstępu stanowi bezsprzecznie najciekawszą partję książki.

* * *

Dramat, który się rozgrywa pomiędzy literaturą a utopją sowieckich republik, jest — prawdę mówiąc — bardzo mało skomplikowany. Zaledwie dwie sceny, podobnie jak w teatrze francuskim „Guignol". Najpierw Guignol pokpiwa sobie z żandarma, a potem żandarm daje pałką po głowie Guignol'owi. Żandarmem są w tym wypadku Sowiety, Guignol'em literatura. Od 1918 roku, obie sceny następują po sobie kolejno, z podziwu godną regularnością.

Nowy reżim rozpoczął od triumfu sowieckiego żandarma. Należy przez to rozumieć, że wszelkie życie literackie wygasło. „W latach 1918-19 — pisze Marek Slonim — wszelka sztuka została unicestwiona. W latach tych wydawano rocznie po 2.000 tomów, zamiast jak w 1913, 34.000 tomów; nie mówiąc już o tem, że ta skromna cyfra obejmowała prawie wyłącznie prace urzędowe i propagandowe. Pisarze, którzy uniknęli wygnania lub rozstrzelania, musieli wybierać mię dzy śmiercią głodową a wyrzeczeniem się sztuki. „Literaci znaleźli się w jednej chwili na bruku... ich zawód stra cił wszelką wartość, raczej był im przez szkodą. W zgiełku walki, aby przetrwać, aby umknąć śmierci, trzeba było się wyrzec sztuki, stać się żołnierzem urzędnikiem czy robotnikiem". Rewolucja rosyjska nie potrzebowała poetów podobnie jak jej starsza siostra Rewolucja francuska nie miała co robić ze swymi uczonymi.

Ale literatura posiada niespożyte siły żywotne. Ponieważ mimo wszystko znajdywali się ludzie, mający nieprzepartą chęć pisania książek, nowi władcy postanowili, że literatura stanie się odtąd wyrazicielką nowej kultury: kultury komunistycznej. sowieckiej, nad którą czuwać będzie nowo - powstała instytucja, nazwana mścicielskiem imieniem „Proletkult". Co właściwie miała oznaczać ta dziwaczna nazwa? Poprostu to, że obalony ustrój powinien w swych gruzach pogrzebać niepotrzebne przeżytki, jakimi są Homer i Virgili, Goethe i Shakespeare, Montaigne i Voltaire, zarówno jak i większość sławnych nazwisk literatury rosyjskiej sprzed 1917 roku. Udzieliwszy im bez ceremonji dymisji, Proletkult przystąpił do tworzenia literatury proletarjackiej, literatury Nowego Człowieka.

Ale w tym momencie wyłoniły się trudności. Odkąd istnieje człowiek, literaturę tworzy się z namiętności ludzkich, które są zawsze i wszędzie te same. Maluje się miłość, nienawiść, zazdrość, chciwość, dumę, ambicję, same rzeczy indywidualne. Otóż literatura, jeśli ma być komunistyczna, nie może tolerować dążeń indywidualistycznych. A więc cóż ma opisywać? Wysiłki zbiorowe. Entuzjazm, który wzbudzają w masach — przemysł i rolnictwo skolektywizowane. Niestety, stąd nie wyszło jeszcze nic dobrego. Powieści o kołho zach i Dnieprostroju nie są wolne od ujemnych cech, nieodłącznych od wszelkiej literatury propagandystycznej. Proletkult napróżno czekał swojego Tołstoja. W końcu dyscyplina sowiecka zmiękła nieco. Pozwolono bohaterom powieści żyć życiem indywidualnem. „Od tej chwili — mówi Slonim — datuje się wspaniały zryw literatury sowieckiej". Tylko, że „sowiecką" jest ona jedynie z nazwy. Guignol wymknął się z rąk żandarma.

* * *

To działo się przed dziesięcioma laty. Od tego czasu, gra między żandarmem a Guignol'em nie ustaje. Rok 1928 przynosi z sobą piatiletkę. „Dziedzina kulturalna" musi oczywiście też wstąpić do szeregów. Skończyły się żarty i opowiadania, niezgodne z ideałami nowego świata. Z. S. R. R. potrzebuje literatury, któraby pobudziła źródła Kaukazu do podwojenia produkcji nafty, któraby się przyczyniła do uprzemysłowienia Syberji, czy do zbudowania linji kolejowej w Turkiestanie. Jeśli zawodowi literaci nie umieją pisać takich książek, w takim razie za stąpią ich ochotnicy. Jednem z przedsięwzięć tej epoki, zakrojonem na szeroką skalę, było powołanie dziesięciu tysięcy chłopów i robotników, którzy okazali pewne zainteresowanie dla spraw artystycznych, w celu odświeżenia kadr literatury sowieckiej i przepojenia jej duchem proletarjackim.

Piatiletka w literaturze nie udała się. Po trzech latach rezultaty były opłakane. Literatura zmierzała — jak mówi Slonim — do upadku, albo co najmniej do kompletnego zastoju. *Trzeba było zrezygnować z piatiletki, podobnie jak zrezygnowano z Proletkultu Od trzech czy czterech lat, literatura sowiecka weszła w stadjum, w któ rem sztuka podnosi głowę kosztem wierności dla komunizmu.*

* * *

Istnieje ważna przyczyna, dla której literatura sowiecka nie dała dotąd typu nowego człowieka. Oto ten człowiek jest przedmiotem marzeń, jest postacią urojoną, która nie wytrzymuje próby kontaktu z rzeczywistością. Inteligentniejsi spośród obecnych rosyjskich pisarzy, zdają sobie dokładnie sprawę z tego faktu, a nawet niebrak im subtelnej ironji w podkreślaniu go. Do tych autorów należy Pantelejmon Romanow, kiedy opowiada historję kandelabrów. Warto przytoczyć ją jako przykład.

Była to para antycznych kandelabrów, które stanowiły cały posag pewnej narzeczonej. Dziewczyna była czysta i naiwna, ale przywiązana do przesądów dawnych czasów. W przeciwieństwie do niej, narzeczony przyjął zdecydowanie nowe hasła i poglądy i wyrzucał swojej wybranej jej przedpotopowe pojęcia o miłości. Gdyby nie te nierozsądne zacofanie, nie odkładałaby jego szczęścia aż do ślubnych formalności. Ale narzeczona zapatrywała się na te rzeczy na swój sposób i była absolutnie nieustępliwa. Więc, ażeby się móc pobrać, poszli do miasta sprzedać kandelabry.

Niestety, kandelabry wyszły z mody i trudno było na nie znaleźć amatora. Wreszcie, po kilku dniach, wciągu których młody komunista nie przestawał wydrwiwać jej zacofanie, narzeczona powróciła uszczęśliwiona: sprzedała kandelabry za dwa tysiące rubli. Wprawdzie kandelabry wyszły z mody, ale dziewczyna była piękna, a kupujący był amatorem nietylko kandelabrów. Z lekkiem sercem przyjęła propozycję, będąc przekonaną, że ukochany nie weźmie jej tego za złe: wszakże tyle razy wyśmiewał przesądy burżuazyjne, przywiązujące tyle wagi do pewnych aktów fizjologicznych. Jakież było zdumienie biednej narzeczonej, kiedy młodzieniec przyjął jaknajgorzej jej nawrócenie.

Pisarze pokroju Pantelejmona Romanowa nie są dobrze widziani w dzisiejszej Rosji. Notatki biograficzne, towarzyszące poszczególnym utworom, zamieszczonym w antologji, muszą wzbudzić w czytelniku niepokój.

Bo biografje kończą się najczęściej dwojako: pisarz ginie śmiercią tragiczną, nierzadko samobójczą, albotеż opuszcza Rosję. Tymi, którzy umierają, są najczęściej poeci. Rewolucja rosyjska okazała się dla nich nielepsza, niż Rewolucja francuska dla Andrzeja Chénier. W 1921 roku umiera słynny poeta Aleksander Blok, z powodu niedożywienia. W 1922 Gumilew rozstrzelany, w 1925 odbiera sobie życie Essenin, w 1930 Majakowski.

Jeśli chodzi o sowieckich powieściopisarzy, to ci po największej części żyją poza granicami ojczyzny. Jedni mieszkają w Szwajcarji, inni na Riwierze, bardzo wielu w Paryżu. Bo nie miałem racji, pisząc na wstępie, że literatura sowiecka nie istnieje. Owszem, ona jest, ale nie przychodzi jak kawior z Rosji, tylko jest fabrykowana w kawiarniach na Montparnasse.

M. O.

Kronika Literacka

Zaprzestawszy polityki, Adolf Nowaczyński został „cudem przeniesiony" na „łono" literatury. Drukuje też szkice literackie jeden po drugim, albo dwa naraz. Twórczość Nowaczyńskiego jest dwutorowa: via *„Wiadomości Literackie"* i *„Prosto z mostu"*.

W *„Wiadomościach Literackich"* (Nr. 37) Nowaczyński drukuje obszerny szkic pt. „Natus est Conradus", w którym porusza sprawę pisarzów polskich, publikujących swe prace naukowe i artystyczne w obcych językach. Autor staje śmiało w obronie Augusta Cieszkowskiego, Trentowskiego i Józefa Conrada Korzeniowskiego, dowodząc, że wogóle ścisłe związki z zagranicą wychodziły na dobre twórcom polskim. Nowaczyński wyraża żal, iż Wyspiański i Żeromski nie mogli dłużej przebywać poza Polską.

Trafne spostrzeżenia mieszają się w tym artykule z paradoksami i wybrykami. Jak zwykle u Nowaczyńskiego.

W nr. 38 *„Prosto z mostu"* ogłasza Nowaczyński rozlewne studjum pt. „Mickiewicz a noc listopadowa". Autor wytyka poecie, że nie spieszył się do powstania 1830 r. Stary kawał! Ponieważ ogół pisarzy broni Mickiewicza i usprawiedliwia jego niewiarę w powstanie, więc Nowaczyński robi poecie zarzuty. Z taką samą przekorą broni mistrz Adolf Conrada Korzeniowskiego, któremu wielu krytyków zarzucało ekspatrjację.

W *„Przeglądzie Współczesnym"* (Nr. 155, r. 1935) ukazał się artykuł Jana Kotta o liryce Jerzego Lieberta. Autor uwydatnia katolicki charakter poezji przedwcześnie zmarłego utalentowanego pisarza, rzucając ją na tło współczesnej twórczości liryków polskich. P. Kott nie poznał należycie tej twórczości, gdyż nie wspomina zupełnie o pięknych wierszach mistyczno-religijnych Jana Zahradnika. Jest to przeoczenie tem dziwniejsze, że o Zahradniku pisali już: W. Giusti w *„Aspetti della poesia polacca contemporanea"* (Roma 1931) i M. Piszczkowski *„O Janie Zahradniku"* (Lwów 1932).

W *„Myśli Narodowej"* (Nr. 37) Zygmunt Wasilewski ogłasza w dalszym ciągu świetne szkice o powieści warszawskiej z lat 1840-tych. Po omówieniu nowel Aleksandra Tyszyńskiego, przedstawia autor twórczość Narcyzy Żmichowskiej, w szczególności charakteryzuje „Pogankę".

Ostatnie numery (31 i 32) tygodnika *„Merkurjusz Polski"* są dowcipne w satyrze społeczno - politycznej i — jak zwykle — zręcznie zrobione. Ciekawy to objaw, że powstają u nas tygodniki, jak *„Prosto z mostu"* i *„Merkurjusz"*, które odznaczają się dobrą techniką dziennikarską i brakiem głębszei myśli.

Maurycy Donnay w naszym „Dodatku"

W najbliższym numerze Dodatku naukowo - literackiego rozpoczynamy druk świetnej sztuki Maurycego Donnay'a, członka Akademji Francuskiej, pt. *Powrót z Jerozolimy*.

M. Donney jest znakomitym krytykiem i autorem kilku sztuk scenicznych. Jego *Powrót z Jerozolimy* należy do tych utworów literackich, które nie popadając w skrajności rasistyczne, przedstawiają obcość psychiki żydowskiej wobec środowiska chrześcijańskiego. Pod tym względem możnaby nazwać Donnay'a kontynuatorem ideologji *Kupca weneckiego* Shakespeare'a. *Powrót z Jerozolimy* ukaże się w starannym przekładzie Pani Marji Orzechowskiej. Sądzimy, iż czytelnicy nasi przyjmą tę zapowiedź z ciekawością i z zadowoleniem.

SIGMA

Erazm Otwinowski

Poezje polskie z XVI stulecia, wykryte przez Brücknera w rękopisie Zamojskich, a wydane przez Ignacego Chrzanowskiego jako *Anonima — protestanta XVI wieku erotyki, fraszki, obrazki, epigramaty* malują niezbyt artystycznie, ale żywo, wiernie i dowcipnie ówczesne życie szlacheckie Porusza w nich również autor zagadnienia polityczne, zaś w sprawach religijnych jest wyrazicielem opinji szlachecko-różnowierczej. Nieznany z nazwiska był dworzaninem Tęczyńskich, obracał się w ziemi lubelskiej i bełzkiej, a w pismach jego można znaleźć wiele danych o pochodzeniu, stosunkach rodzinnych i kolejach życia. Prof. Stanisław Kot dowodzi, że tym ciekawym anonimem — protestantem jest znany z dziejów ruchu reformacyjnego *Erazm Otwinowski*.

Urodzony ok. 1526 roku w Leśniku, najmłodsze lata spędził Otwinowski na dworze wojewody krakowskiego, Piotra Kmity, skąd wyniósł obycie światowe i wykształcenie i gdzie zapoznał się z ruchem reformacyjnym. Po śmierci Kmity wstąpił w służbę Stanisława Tęczyńskiego, największego magnata swej okolicy, rezydującego w Kraśniku.

PODRÓŻ DO TURCJI.

W roku 1557 kasztelan chełmski Andrzej Bzicki, wysłany przez sejm warszawski jako poseł do Turcji, zaprasza Otwinowskiego, który „z przyrodzenia do dalekich peregrynacyj był chętliwy" do swego orszaku.

Podróż tę odbywa Otwinowski, jako towarzysz na koszt posła, zaopatrzony również w zasiłek przez Tęczyńskiego, który mu daje pewne zlecenia do Carogrodu. Pozatem do czynności urzędowych posła Otwinowski się nie mieszał. Podróż trwała cztery miesiące, a owocem jej było *Wypisanie drogi tureckiej*. Są to notatki z przebiegu podróży i pobytu w Turcji oraz ciekawe opisy Carogrodu, życia ludności tamtejszej i osobliwości obyczajowych. Wspomnienia te, pisane stylem potoczystym i barwnym, dowodzą dużego talentu obserwacyjnego. Powrotna droga z Turcji wypadła mniej fortunnie z powodu zatargów posła Bzickiego z towarzyszami, przyczem tych ostatnich spotkały niezbyt miłe przygody z Turkami i nieraz czerwonych złotych im brakło. Epilog wyprawy był jeszcze smutniejszy, bo wojewoda Tęczyński nietylko sobie dworował z przygód Otwinowskiego na Bałkanie, ale także za trudy wcale go nie wynagrodził.

Widocznie jednak nie zraziło to pisarza do dworu Tęczyńskich, gdyż pewne poszlaki wskazują, że wkrótce po powrocie z Turcji wyjechał do Francji z młodym panem Baptystą Tęczyńskim. Poszlaki te znajdujemy w pismach, które możnaby przypisać anonimowi - protestantowi. Następnie nazwisko Erazma Otwinowskiego notowane jest na wszystkich większych synodach protestanckich w Polsce.

WYPRAWA DO SZWECJI

Po śmierci wojewody (w 1560 r.) Otwinowski towarzyszy młodemu Tęczyńskiemu w jego podróżach.

Młodziutki Jan Baptysta odznaczał się inteligencją, ogładą i ćwiczeniem rycerskiem, toteż wywiązuje się pomyślnie ze swego pierwszego poselstwa do Szwecji, które miało na celu przedewszystkiem złagodzenie konfliktu o Inflanty. Poseł uzyskał zapewnienia pokojowe, projekt zaślubienia dwóch Jagiellonek przez braci króla Eryka XIV, a w razie powodzenia tych zamiarów otrzymał dla siebie przyrzeczenie ręki siostry królewskiej, królewny Cecylji (zresztą podobno nie co skompromitowanej dworskiemi miłostkami). Następnie Tęczyński posłuje do Finlandji. Po zaślubinach Katarzyny Jagiellonki z Janem ks. finlandzkim, zdawałoby się, że Tęczyński musi zrezygnować z ambitnych planów matrymonjalnych, gdyż król szwedzki otwarcie wystąpił wrogo przeciw Polsce. Tymczasem wojewodzic czyni wielkie i kosztowne przygotowania do wyprawy po żonę, gromadzi orszak krewnych i dworzan i mimo stanowczego zakazu króla Zygmunta Augusta, który przygotowywał już przeciw Szwecji kroki wojenne i pertraktował z Danją o przymierze — wyrusza z ogromnym orszakiem okrętem z Gdańska w stronę Szwecji.

Przestrzeżony o tem król duński, wysyła kilka swoich okrętów, które otaczają statek Tęczyńskiego ostrzeliwując go z dział i zmuszając do poddania się. Naprożno pertraktuje Tęczyński z admirałem floty duńskiej osobiście i przez swoich posłów. Dwukrotnie Erazm Otwinowski, jako sekretarz Tęczyńskiego, stara się u admirała wyjednać pozwolenie na dalszą podróż. Polacy otoczeni przez Duńczyków znoszą ciągłe upokorzenia, choroby, głód a w dodatku straszliwe burze morskie. Wreszcie rozdzieleni i pod strażą, mimo protestów zostają odwiezieni do Kopenhagi. Król duński oświadcza gotowość postąpienia z jeńcami wedle woli Zygmunta Augusta. Prośba o uwolnienie przychodzi jednakże zapóźno, gdyż Tęczyński wyczerpany przejściami umiera w Kopenhadze. Śmierć jego opisuje Kochanowski w wierszu pt. *Pamiątka Janowi Baptyście hr. na Tęczynie* zaś Otwinowski w *Bohaterach Chrystjańskich*.

Powróciwszy do kraju nie zostaje już Otwinowski w dalszej służbie u nikogo z rodu Tęczyńskich, zwłaszcza że znowu nie wypłacono mu należnych zasług.

TWÓRCZOŚĆ POETYCKA

Wiersze, które przypisuje się Otwinowskiemu w zbiorze odkrytym przez prof. Brücknera, można podzielić na 1) erotyki, 2) fraszki, 3) obrazki obyczajowe, 4) napisy i drobne wierszyki.

Erotyki są to listy pisane do ukochanej z podróży, które Otwinowski tak często odbywał, listy pełne tęsknoty, miłości i dworskich komplementów. Ta sama zapewne ukochana zostaje żoną poety i piękne epigramy świadczą o jego szczęściu rodzinnem. Druga grupa wierszy są to fraszki przeważnie o treści rubasznej, popularne wówczas na całym świecie. Najciekawszą jest dla nas trzecia grupa, niezastąpione niczem źródło wiedzy o ówczesnym obyczaju. Niewiele dbając o artystyczną stronę wiersza poeta opisuje różne zabawy, zdarzenia, przygody i odtwarza w ten sposób żywo i barwnie życie szlachty i dworzan XVI wieku. Pisząc w duchu protestanckim zjadliwie napada na kler katolicki, ilekroć zaś pisze o Bogu ze słów jego bije głęboka wiara, a ton staje się namaszczony i uroczysty właściwy pisarzom kalwińskim.

O sprawach politycznych pisze Otwinowski z zacięciem sayrycznem. Krytycznie odnosi się do króla i do magnatów, a najbardziej zajmuje go sprawa obrony granic; żadnych jednakże własnych, oryginalnych myśli czy projektów nie formułuje.

Czwarta grupa, zawierająca napisy wedle mody humanistycznej na różne sprzęty domowe przeznaczona jest dla szwagra poety i w niej też znaleźć można najwięcej elementów rodzimych i osobistych, które prawie zupełnie wyraźnie wskazują, że poetą - anonimem jest Erazm Otwinowski.

Późniejsze, znane nam wiersze Otwinowskiego mają często pokrewne typy rytmiczne z poezjami anonimowe mi, ten sam charakter języka, skłonność do szczegółów obyczajowych i niezwykłą w wieku XVI bezwzględną nieobecność motywów mitologicznych.

DZIAŁALNOŚĆ RELIGIJNA

W roku 1579 spotykamy pierwszy ślad przynależności Otwinowskiego do obozu arjan, a w latach następnych należy on do pierwszego szeregu arjańskich działaczy w Lublinie. Opisuje gośne dysputacje, następnie wydaje książeczkę *Historje znacznych niewiast* z Pisma świętego zebrane, które uzupełnia od siebie naukami moralnemi. Do *Historyj* tych dodaje na końcu utwory pouczające: *O dobrej żenie, O ubierzech niewieściech, O tańcu itp.*

Nostępnem dziełem poety, które się nie zachowało są *Głowy i monarchowie Kościoła rzymskiego*, zapewne uszczypliwe wierszyki o papieżach. Wiadomość o tem dziele znaduje się w liście do hetmana Zamoyskiego, jedynym większym do dziś zachowanym autografie Otwinowskiego.

Po przeniesieniu się z Leśnika do Rakowa, uczestniczy Otwinowski do późnej starości gorliwie w pracach swego kościoła. W roku 1599 wydaje *Przypowieści Pana naszego Jezusa Christusa...*, zbiór rymowanych przypowieści Chrystusowych. Są to jednak raczej własne rozważania poety na motywy z słów Chrystusa czerpane, zgodnie z surową etyką zboru i dające wyraz jego doktrynie społecznej. Wreszcie ostatni utwór Otwinowskiego *Bohaerowie Chrystyańscy* nie był już drukowany, lecz przechowywał się wśród wygnanych z Polski arjan w rękopisie.

Był to opis początków ruchu reformacyjnego w Polsce i ofiarnych czynów pierwszych jego bojowników. Korzystali z tego rękopisu późniejsi pisarze i z ich zapisków dowiadujemy się że zawierał sporo materjału historycznego i anegdotycznego.

Otwinowski jest ze stanowiska socjologicznego bardzo ciekawym i charakterystycznym objawem swego wieku. Pochodzi z ubogiego rodu szlacheckiego, swój rozwój umysłowy zawdzięcza wychowaniu na magnackich dworach, kształci się lekturą, a podróże po obcych krajach wyrabiają w nim samodzielność sądu i niezależność poglądów.

Prof. Kot przeprowadza interesującą paralelę pomiędzy rozwojem twórczości wcześniejszego o lat 20 poety Mikołaja Reja a twórczością Erazma Otwinowskiego. Rejowi sprzyjała doba dziejowa, spragniona jego dzieł, zaś Otwinowski (zresztą mniejszy talent i bez rejowskiego rozmachu i ambicji pisarskiej) zmalał wobec rozkwitającej poezji Kochanowskiego. Wreszcie twórczość swoją ograniczył później do zagadnień religijnych, odsunął się zupełnie od świata, i życia szlacheckiego i szukał doskonałości w zamkniętem życiu zborowem.

Umarł Otwinowski w roku 1614, mając lat około 90. Prawnuk jego, historjograf reformacji, Stanisław Lubieniecki, nazywa go „mężem sławnym z pobożności i pism, słusznie godnym zaliczenia do Bohaterów Chrystjańskich, których polskim wierszem opiewał".

O ile ze stanowiska religijnego i politycznego ruch refomacyjny jest nam zasadniczo wrogi, o tyle musimy przyznać, iż ożywił on atmosferę twórczość kulturalną ówczesnych pokoleń. W obrazie kultury XVI wieku Erazm Otwinowski zajmuje miejsce dość poczesne.

*) Stanisław Kot „*Erazm Otwinowski, poeta - dworzanin i pisarz różnowierczy*". Reformacja w Polsce. R. VI, Nr. 21—24.

Ostatni numer „Tęczy"

Na pierwszej karcie najnowszego numeru „Tęczy" zamieszczono doskonałą karykaturę, ilustrującą w poszczególnych obrazkach istotę zatargu włosko-abisyńskiego. Tej sprawie poświęcona jest często i dosadna „Kronika miesięczna", poruszająca zagadnienie podbojów kolonjalnych i ich stronę moralną. Omawiany numer tętni aktualnością.

Trudno wszystko wymienić. Trzeba wskazać na reportaż z Niemiec hitlerowskich, zilustrowany ciętemi karykaturami, dalej artykuł prof. Tarnawskiego p. t. „Przemiany duszy angielskiej". G. Morcinka o tem, jak to na Śląsku p. Prezydent jest gazdą, St. Szpotańskiego o Sułkowskim Żeromskiego i Sułkowskim prawdziwym, Nowaczyńskiego o gramatyce (!), Latoszewskiego o operze i t. d. Obok części aktualnej jest również bogaty materjał beletrystyczny, rozrywkowy, urozmaiceniowy. Dwie nowele, filatelistyka, rozrywki umysłowe, grafologia, plansze rotograwurowe, oraz niezwykle ciekawy — konkurs literacki z nagrodami.

„Tęczę" otrzymać można w księgarniach, kioskach, u kolporterów lub wprost w Administracji — Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

Grób przy czwartym kilometrze
na pobojowisku warneńskiem

Niedawne uroczystości polsko-bułgarskie w Warnie przypomniały nieraz wiązaną dotąd kwestję grobu i szczątków pośmiertnych Władysława Warneńczyka.

Kwestja ta była już raz przedmiotem żywej polemiki, w której zabierali głos dwaj badacze i znawcy Słowiańszczyzny, Jan Grzegorzewski i Tad. Stan. Grabowski.

Było to w sierpniu 1909 roku. Istniejące podówczas w Warnie Towarzystwo Archeologiczne otrzymało wiadomość, że na pobojowisku warneńskiem rozkopano w nocy pokryjomu stary grobowiec, w którym rzekomo znaleziono szkielet bez głowy, oraz kilka starożytnych przedmiotów.

Ponieważ nasuwało się przypuszczenie, że mogą to być kości Warneńczyka który wedle legendy pogrzebany został na polu walki, — zatem Towarzystwo wysłało na miejsce komisję, celem zbadania całej sprawy i złożenia sprawozdania.

Z odnośnego protokołu, przedłożonego Ministerstwu Oświaty w Sofji cytujemy najciekawsze ustępy:

Otóż rozkopania grobu dokonała prosta chłopka Todora Ilijewa, w towarzystwie kilku poszukiwaczy skarbów, których w owym czasie kręciło się dużo po całym kraju, zwłaszcza zaś na pobojowiskach historycznych.

Dokonała zaś tego na skutek widzenia sennego, wiedziona jakoby wewnętrznym, niezmożonym nakazem. Co spodziewała się znaleźć w tym grobie, — na to dawała potem rozmaite, mętne i sprzeczne odpowiedzi. Była mowa o jakimś rycerzu chrześcijańskim, — to znów o... św. Janie Chrzcicielu (!)

Najprawdopodobniej jednak grały tu równie wielką rolę motywy zabobonno - religijne, jak i czysto spekulacyjne, a mianowicie chęć stworzenia sobie źródła łatwego a pewnego zarobku. Wskazuje na to już choćby fakt, przez komisję stwierdzony, że „znalezione" rzekomo w grobowcu przedmioty: drewniany krzyżyk i obrazek święty, Ilijewa sama zręcznie podrzuciła, dla przekonania niedowiarków.

Rzeczywiście natomiast znaleziono w grobowcu części szkieletu bez głowy, — wykopane kości rozgrabili zebrani okoliczni ludzie, tak, że tylko trzy niewielkie kości (ramieniową i kręg szyjny) zdołano odebrać.

Na podstawie rzeczonego protokołu Towarzystwo Archeologiczne w sprawozdaniu swem, przedłożonem Ministerstwu Oświaty, oświadcza w konkluzji, że

„nie można dojść do stanowczych pozytywnych wyników co do grobu nieszczęśliwego króla Władysława".

Kiedy wiadomości o tych odkryciach doszły do Polski, wywołały one żywe, a zrozumiałe zainteresowanie.

Obszerniejsze sprawozdanie przesłał o całej sprawie Krakowskiej Akademji Umiejętności przebywający w tym czasie w Bułgarji *Jan Grzegorzewski.* On też pierwszy zajął się naukowem badaniem tej sprawy na miejscu, — a wyniki tych badań opublikował w specjalnej broszurze *„Grób Warneńczyka"*, wydanej w roku 1911 w Krakowie, nakładem Akademii.

Grzegorzewski w pracy swojej starał się dowieść, że ów grobowiec znajdujący się przy czwartym kilometrze pod Warną, zwany *„Pasza - boba-tekesi"*, albo *„Kesik - basz - tekesi"* jest rzeczywiście miejscem wiecznego spoczynku Władysława Warneńczyka. Do konkluzji tej dochodzi, opierając się częściowo na autopsji, częściowo zaś na tradycji, podaniach i legendach miejscowych, zarówno chrześcijańskich jak tureckich.

Natomiast mniejszy nacisk kładzie na źródła historyczne, — w których coprawda nie mógł się doszukać argumentów na poparcie swej hipotezy.

Jako zasługujące na uwagę określa tylko dzieło Kamila Paganela, który w swojej „Historji Skanderbega" (wydanej w roku 1855 w Paryżu) pisze: *„wzniesiono kolumnę na polu bitwy, gdzie też pogrzebano nieszczęśliwego Władysława".*

Co do wiarygodności tej informamusi się jednak mieć poważne zastrzeżenia, — gdyż o owej kolumnie i pogrzebie króla niema żadnej wzmianki ani u historyków tureckich (najbardziej w danym wypadku miarodajnych), ani u kronikarzy polskich.

Więcej materjału znalazł w ludowych podaniach i legendach, w których powtarza się postać jakiegoś wojewody chrześcijańskiego, któremu w czasie bitwy odrąbano głowę, a kadłub pogrzebano właśnie w tem miejscu. Ale tu nasuwała się nowa trudność:

Legenda mówi, że w owym grobowcu *„Pasza - boba - tekesi"* pogrzebany został jakiś *Kara - jahja basza!* Drogą dość zawiłego argumentowania usiłuje tedy Grzegorzewski dowieść, że Jahja, — to zniekształcone przez Turków imię Janko, Jankuł, Janusz, czy nawet Jango, — a odnoszące się do słynnego wojownika, uczestnika wyprawy warneńskiej, Jana Hunyadego.

Gdy zaś wśród Turków osoba Hunyadego była oddawna bardziej znaną od Warneńczyka, zatem drogą substytucji imion Władysław utrwalił się w legendzie i podaniach jako Janko, z czego Turcy zrobili Jahja. I tak oto Warneńczyk został „Kara Jahją"...

Opierając się na tych przesłankach oświadcza Grzegorzewski, że *„ostateczny wynik badań daje pewność autentyczności grobu".*

* * *

Bardziej krytycznie i objektywnie rozpatruje to zagadnienie drugi badacz *Tad. Stan. Grabowski* w wydanem również w roku 1911 w Warszawie dziele: *„Sprawa grobu i szczątków Władysława Warneńczyka".*

Celem tej pracy było zebranie jaknajwiększej ilości źródeł, materjałów, świadectw i pomników, mogących rzucić światło na sprawę grobu Władysława Warneńczyka.

Autor powołuje się tedy na świadectwa współczesnych kronikarzy, polskich i obcych. Ani jednak Palatio, ani Chalkondylas i Phrantzes, ani z naszych Kallimach i Długosz, ani wreszcie najpoważniejszy autorytet, pisarz turecki Sead - Eddin nie wspominają słówkiem o tem, co się stało ze zwłokami króla, ani też temmniej o jego pogrzebaniu na miejscu bitwy. Pewnem jest tylko, że Władysław zginął pod samym namiotem sułtana, a więc w dużem oddaleniu od miejsca, gdzie znajduje się w mowie będący grobowiec *„Pasza - boba - tekesi".*

Równie pewnem jest, że głowę zabitego, nasadzoną na dzidę, zaniesiono sułtanowi, który miał ją kazać odesłać do Brussy.

Grabowski zwraca jednak uwagę na jeszcze jedno źródło, wprawdzie nie kronikarskie, lecz mające mimo to pewną wartość dokumentarną.

Jest to mianowicie opowiadanie niejakiego Hansa Margesta, który jako zaciężny żołnierz walczył pod Warną, dostał się do niewoli tureckiej, a po 16 latach wrócił do ojczyzny. Podaje on mianowicie, że sułtan wydał zwłoki Władysława mnichom greckim w Warnie, którzy pochowali je uroczyście w pewnej małej cerkwi.

Wiadomość ta przynosi zupełnie nowe dane do rozwiązania tajemnicy grobu Warneńczyka.

Pozostałaby jeszcze kwestja szkieletu bez głowy. Otóż na ten temat krąży cały szereg legend w całej Bułgarji, przyczem onym rycerzem z uciętą głową bywa nietylko wojewoda chrześcijański, lecz i rycerze lub kapłani muzułmańscy.

Czy zatem znaleziony w rzeczonym grobowcu szkielet bez głowy jest faktycznie szkieletem Warneńczyka, a nie bohatera innej legendy, — na to niema żadnych niezbitych dowodów.

A znany archeolog, Szkorpil podaje, że na samem tylko pobojowisku warneńskiem znajdują się aż trzy groby, do których przywiązana jest legenda o pogrzebanych tam bohaterach z odciętą głową.

Co się tyczy substytucji imienia Janko, z którego Grzegorzewski wywodzi końcowe „Jahja" dla poparcia i wzmocnienia swej hipotezy, — Grabowski powołuje się na opinję doskonałego znawcy tureczczyzny, dr. Dimitrowa, który, po zbadaniu oryginalnych rękopisów Sead - Eddina kategorycznie stwierdza, że poważny ten latopis nigdy nie nazywa Władysława Jankiem i doskonale rozróżnia osoby obu bohaterów.

Nieporozumienie spowodował bułgarski pisarz D. Ichczijew, który streszczając rękopis turecki pozwolił sobie na liczne, samowolne „poprawki", a nawet dopiski.

* * *

Oba omówione powyżej dzieła nie wyjaśniają zupełnie zagadki grobu Warneńczyka. Kwestja ta czeka dotychczas na wyświetlenie, — co jednak wydaje się rzeczą niesłychanie trudną, jeśli nie niemożliwą.

Nasuwają się tu trzy hipotezy:

1) że Warneńczyka pogrzebano rzeczywiście na polu walki, — może w osobnym grobie, a może we wspólnej mogile,

2) że zwłoki królewskie pochowane zostały w jakiejś, dziś już nieistniejącej cerkwi w Warnie,

3) że ciało Warneńczyka zginęło wraz z tysiącami poległych w nurtach leżącego opodal jeziora Dewneńskiego.

Jakkolwiek rzecz się ma, — uczczenie pamięci młodego, bohaterskiego króla na polach Warny, — była piękną i wzniosłą ideą, która obecnie doczekała się realizacji.

Przypomnieć zaś trzeba, że ideę tę podjęło pierwsze Towarzystwo Archeologiczne we Warnie, które na pierwszą wieść o odkopaniu kości Warneńczyka rozrzuciło po kraju i zagranicą odezwy, wzywając do składek na ten piękny cel. *(R.)*

Poeta - przemytnik

Wśród poetów francuskich dziewiętnastego wieku zajmuje Jan Artur Rimbaud stanowisko zupełnie wyjątkowe. Już Verlaine, — ten jego przyjaciel i adorator — stwierdził, że poezja Rimbaud'a jest poza i ponad wszelką literaturą, — taksamo zresztą jak i życie tego poety, — co po wyjściu z lat młodzieńczych symbolicznym gestem rzuca do ognia swój wspaniały, świeżo wydany „Sezon w piekle", — nie dało się włoczyć w ciasne ramy przeciętności.

Urodzony w październiku 1854 roku w Charleville, jest początkowo, aż do trzynastego roku życia, dzieckiem pilnem, pojętnem i pracowitem. Z tego okresu czasu datują się pierwsze jego wiersze łacińskie, za które dostaje w kolegjum nagrody. Na dalszy jego rozwój umysłowy wpływają niezwykłe stosunki rodzinne: z jednej strony matka, chciwa na grosze, bezwzględna, ograniczona, — z drugiej ojciec, „szeroka natura", lekkomyślny hulaka i niepoprawny włóczęga, wałęsający się po całym świecie, zanim wkońcu zerwie zupełnie z całą rodziną.

Pod wpływem nieznośnej tyranji matki zaczyna się budzić w młodym chłopcu ziarno buntu. Jako szesnastoletni chłopiec ucieka Rimbaud do Paryża. Ma już w swoim dorobku literackim cały szereg utworów poetyckich, nazwisko jego znanem się staje w kołach literackich stolicy. Zainteresował się młodziutkim poetą Teodor de Banville, — a jeszcze goręcej Verlaine. Przyjaźń z tym ostatnim zakończyła się tragicznie: kiedy Rimbaud, gnany niepohamowaną żądzą przygód, postanawia rozstać się z Verlainem — rozdrażniony i rozżalony Verlaine strzela do swego przyjaciela, — co odpokutować musiał następnie więzieniem.

Lata od 1870 do 1873, to okres bujnej twórczości poetyckiej Rimbauda. W tym krótkim okresie czasu tworzy on swoje arcydzieło: „Illuminations", które wywarło przemożny, niezatarty wpływ na całą twórczość poetycką Francji, — od symbolizmu aż do dadaizmu. Znakomity pisarz i poeta, Paul Claudel, dopatruje się w nagłym a wspaniałym rozkwicie talentu twórczego Rimbaud'a — głosu nieba i oświadcza, że pod wpływem tego dzieła dokonało się jego nawrócenie do katolicyzmu.

I oto nagle następuje nieoczekiwany zupełnie, a decydujący zwrot: Rimbaud pali wszystkie egzemplarze wydanego świeżo, w roku 1873, „Sezonu w piekle" — i zrywa zupełnie z litera-

turą. Jako dwudziestoletni młodzieniec puszcza się w świat, na wędrówkę. Przymiera nieraz głodem, tuła się po spelunkach portowych, chwyta się rozmaitych interesów...

Aż wreszcie osiada... w Abisynji, gdzie zaczyna uprawiać ryzykowny, ale lukratywny proceder przemytu broni. Za centrum swych operacyj handlowych wybrał sobie Harrar, skąd na czele karawan transportował towary do Adenu, przewożąc stamtąd karabiny. Okazał się tu śmiałym, ale bezwzględnym, nieraz aż okrutnym przedsiębiorcą, wyzyskując nielitościwie podległych mu murzynów. Toteż w krótkim czasie uzbierał sobie ładny mająteczek: 40 tysięcy franków w złocie.

Na tym egzotycznym terenie przyszły do głosu wszystkie odziedziczone cechy charakteru i usposobienia jego rodziców: chciwość i zapobiegliwość matki, zuchwała przedsiębiorczość i żyłka awanturnicza ojca.

W roku 1890 jedzie do Paryża, by poddać się nieuniknionej operacji: amputacji nogi. Po przebytej szczęśliwie operacji zamierzał Rimbaud wrócić do Afryki, — w Marsylji jednak zapadł ciężko na zdrowiu i tam też, w roku 1891, życia dokonał.

W szkicu niniejszym nie mamy zamiaru omawiać obszerniej twórczości poetyckiej Rimbaud'a, której poświęcono już cały szereg studjów. Pragnęlişmy raczej przypomnieć parę epizodów z jego bujnego życia, — w szczególności jego pobyt w Abisynji. W listach swych nie wyraża się Rimbaud zbyt pochlebnie o tym kraju:

„Pustynia, zamieszkała przez tępych i ograniczonych murzynów... Dość już mam tego!... Morderstwa i rabunki są tu na porządku dziennym...

A w ostatnim swym liście do jednego ze swych przyjaciół we Francji donosi mu Rimbaud, że władca Harraru, Ras Makoma, wysyła do Włoch poselstwo z prośbą, by potężne państwo włoskie zechciało pomóc Abisynji, wyzwolić ją z pęt barbarzyństwa i wprowadzić na drogę cywilizacji... *(R.)*

„W kraju lwa i słońca"

Z tyłu pustynia. Miljony drobnych ziarenek piasku, czerwonawego koloru, mienią się i iskrzą w promieniach słońca. Z przodu — skalny wał gór, rumowisko kamieni i głazów, pełne majestatycznej powagi, martwego spokoju, a nad tem wszystkiem cudowne, granatowe niebo, nie zasłonięte ani jedną chmurką, czy mgiełką.

Od dwóch godzin pociąg stoi już na stacji w Khanikinie, lecz, że „lordowie" lubią się wyspać, więc budzą nas dopiero o ósmej. Na biało wyelegantowani boye, w niskim ukłonie pytają się o zdrowie i apetyt „sirów".

Wypijam szybko doskonałą białą kawę, podczas golenia chrupię smaczne keksy z konfiturami i po paru minutach wysuwam nos na peron.

Biała, czyściutka stacyjka, odbijająca jaskrawo na tle brązowo-sinych gór, tuż z boku gęsty lasek palmowy i jakaś przejmująca cisza wokoło. Zdaje się, że słychać brzęczenie moskitów!

Samochody, mające nas powieźć w dalszy etap podróży, stoją już przyszykowane. Pcham się naturalnie koło szofera, niezrażony tem, że czynność ta jest mocno skomplikowana bagażami, przywiązanemi do stopni samochodu. Trzeba się poprostu drapać górą. Z tyłu jakaś rodzina perska z mamą osłoniętą od stóp do głów czarnym czadrem. Kupa bachorów, betów, pierzyn....

Mijamy ostatnie palmy i wśród piaszczystych, czerwonawych pagórków docieramy do posterunku granicznego Iraku. Z boku wierza strażnicza, przed nami zamykający drogę drewniany szlaban. Jadę tranzytem, więc rewizji niema, tylko formalności paszportowe. Szlaban się otwiera i po przejechaniu niewielkiego wzgórza, stajemy przed długim, glinianym barakiem, na którym powiewa czerwono-zielono-biała, z lwem i słońcem pośrodku chorągiew. Już tylko szlaban zamyka nam drogę do Persji!

Wyładowuję kufry na platformę przed barakiem i widząc długi szereg cudzych bagaży, szykuję się na solidne czekanie. Wokół jakaś dziwnie posępna pustka. Powyginane w bajeczne kształty skały, zdają się wisieć nad głowami, ani śladu zieloności, ani śladu życia. Po drugiej stronie przykucnęły tylko małe gliniane budy, mieszczące w sobie herbaciarnie, czyli, jak tutaj nazywają „czakhane". — Jest jeszcze spory magazyn i to wszystko. Wokoło uwija się paru brudnych i obdartych ludzi w czarnych, perskich krymkach na głowie.

Upał szalony. Niedarmo znajdujemy się w jednym z najgorętszych punktów naszego globu. W gardle wysycha, język sztywnieje, w głowie zaczyna się do tego stopnia mącić, że niewiadomo, co się robi, mówi. Do tego jeszcze na rewizji przewracają manatki do góry nogami. Chce się kląć i płakać zarazem. Gdy wkońcu już jest po wszystkiem, siadam do samochodu nawpół przytomny. Nawet trzy, chyba litrowe szklanice kwaśno-słodkiego mleka nie zdołały mi pomóc.

Szlaban idzie w górę — jesteśmy już w Persji.

Droga wije się zygzakami wśród ponurych gór. Od czasu do czasu mija się położone nad strumieniami, w cieniu jakichś mizernych drzewek czajkhany, jadących na osłach ludzi, czasem znów jakieś mizerne pólka, to stado baranów. W końcu jakaś widocznie niedawno założona osada. Szerokie ulice, wysadzane niewyrośniętemi jeszcze drzewkami, będące w budowie domy, klomby i skwery. Widać, że wzorują się na Europie. Potem serpentyny, jedna nad drugą, coraz wyżej, coraz bardziej kręto. Niczem z samolotu spogląda się na położoną u stóp dolinę, na biały sznurek wijącej się drogi. Przejechaliśmy jedno pasmo górskie. — Przed nami znów dolina. Jak linją wymierzona, przecina ją droga, ginąca gdzieś w dali, w nowych szczytach. Góry gołe, zrzadka pokryte kępami szaro-zielonej trawy. Smutno i dziko wokoło, a w górze rozpalona do białości i ziejąca zabójczym ogniem kula słoneczna!

Ruch na drodze spory. Mijamy ciągle, sunące wolno ciężarówki, osobowe samochody, pieszych wędrowców, machających ręką na przejeżdżający wóz — w błogiej nadziei, że ich się zabierze...

W południe docieramy do pierwszego większego miasta perskiego — Kermanszachu.

Gliniana mieścina, o krętych, brudnych i pełnych kurzu uliczkach, jest centrem naftowym Persji. Tu i w okolicach gromadzą się najbogatsze tereny, stąd wysyła się transporty na wszystkie strony świata. Z wyglądu miasta niktby tego jednak nie przypuścił.

Zajeżdżam do najporządniejszego hotelu, zjadam niezły obiad i ruszam do kompanji samochodowej dowiedzieć się, kiedy dostanę połączenie z Teheranem. Według informacji w biurze podróży w Konstantynopolu — mam jechać jutro rano, by na wieczór zdążyć do stolicy.

Biuro — jakto biuro. Za odgrodzoną szkłem częścią pokoju, siedzi przy biurku jakiś młody bubek. Sadowią mnie na fotelu i czekam, przeglądając starannie jeszcze raz wszystkie moje słowniki i słowniczki. Trzeba się przecież z nim jakoś dogadać.

Wypijam przyniesioną mi przez boya w lilipucich szklaneczkach herbatę, przegryzam ją według tutejszego zwyczaju cukrem i czekam...

W końcu zdecydowano się i zemną pogadać.

„Parlez vous francais?"

„Speak you englisch?"

Ou! myślę sobie, niedobrze, zaczynam wobec tego ja:

Sprechen sie deutsch?"

„Gawaritje pa ruski?"

Okazuje się, że nie, wobec tego sięgam za moje słowniki. Wreszcie po długich kombinacjach dowiedziałem się, że jutro rano samochód do Teheranu odjedzie, wobec czego z lekkiem sercem wróciłem do hotelu.

Katar, który złapałem w pociągu, wzmagał się z każdą chwilą, wobec czego zmachany i kichający położyłem się, by choć przespać do kolacji.

Ale zamiary są zamiarami, gdyż zbudziłem się dopiero na drugi dzień rano, głodny solidnie, ale wyspany za wszystkie czasy.

Zjadłem sute śniadanie, spakowałem manatki i zacząłem z niecierpliwością czekać na samochód. Godzina 9-ta nic, 10-ta nic, pół do 11-tej nic, mocno więc już zdenerwowany ruszam znów do biura. Tutaj te same ceregiele, herbatka, czekanie w wygodnym fotelu — w końcu oświadczają mi, że wyjadę w południe.

Ano niech wam będzie, wracam do hotelu i zajmuję stanowisko wyczekujące na balkonie.

Podemną pełna kurzu, niebrukowana główna ulica miasta. Ciągły ruch samochodowy, ryk klaksonów i osłów, żałosne beczenie baranów... Tłumy przewijających się „ambałów" (robotników) ubranych w jasno niebieskie spodnie, czasem zjawi się jakiś poważny kupiec, trochę z europejska już ubrany, czasem znów jakiś stary, ślepy żebrak w dziwnej kopulastej czapce. Kobiet prawie że nie widać, a jeżeli się już jakaś ukaże, to zasłonięta od stóp do głów. Migają jej tylko wielkie, czarne oczy z pod wystającego daszku, a z nad trzymanego w zębach końca czarnej chusty. Dziwny kraj, gdzie obok olbrzymich ciężarówek, najlepszych marek amerykańskich, przewijają się obładowane, niewidoczne prawie z pod pak osiołki. Od czasu do czasu wkracza na ulice wolnym, poważnym i lekceważącym krokiem wielbłąd, dzwoniąc posępnie uwieszonym u szyi dzwonkiem. Za nim przywiązany do ogona poprzednika drugi, trzeci i tak sznur taki kroczy, kiwając się miarowo na wszystkie strony.

O dwunastej samochód nie przyjechał po mnie, a w biurze oświadczyli mi, że dziś nie będę mógł pojechać — dopiero jutro rano. Ładna historja! Dotychczas mogłem mieszkać w hotelu, gdyż miałem na nocleg i jeden dzień „plackartę", ale co teraz zrobić? Mam przecież tylko 6 zł. w kieszeni, to jest to, co mi zostało po daniu napiwka szoferowi, który mnie tu przywiózł. W obcym, prawie dzikim kraju, bez znajomości języka, bez pieniędzy!

Cóż, z rękawa pieniędzy nie wytrzęsę, a że głód zaczął doskwierać, wróciłem do hotelu i jakgdyby nigdy nic zjadłem smaczny, zakrapiany obiad. Niech się dzieje wola Boża! Odechciało mi się nawet na miasto wychodzić, i resztę dnia spędziłem nad książką.

NOCLEG WŚRÓD ŚNIEGÓW"

Zbudziły mnie wrzaski ulicznych przekupniów, handlujących tuż pod mojemi oknami. Idę znów do biura podróży, by się dowiedzieć, że: „samochodu niema i niewiadomo kiedy będzie. Może jutro, może pojutrze!" Już mi tego było za wiele, powiedziałem im w paru językach co o nich myślę i wyniosłem się, by kombinować, co dalej począć. Sytuacja stawała się przecież coraz tragiczniejsza!

Nie mając już nic do stracenia wysłałem na rachunek hotelu telegram po pieniądze, następnie zacząłem kombinować jakby tu wydostać z kompanji gotówkę którą zapłaciłem za przejazd do Teheranu.

Myśli snuły się nie wesołe, humor był fatalny!

Aż tu właśnie gdym smacznie zajadał w hotelu objad, nie troszcząc się jak i kiedy go zapłacę, wpada portjer i anonsuje mi, że samochód na mnie czeka.

Z miną samego Rotszylda proszę o rachunek, następnie wołam dyrektora hotelu, w jego oczach podpisuję papier, zostawiam teherański adres i pół po francusku pół po angielsku przepraszam



Niebezpieczne spotkanie

że nie mogę zaraz zapłacić, ale mam tylko czeki przy osbie, które tylko w Teheranie mogę zrealizować, wobec tego dopiero stamtąd przyślę mu pieniądze!

Zgodził się, z niskim ukłonem odprowadził do drzwi, portjerzy pomagali ładować walizki na samochód... I pomyślałby kto, że to azjatycki kraj! U nas policjanta by na takiego gościa zawołali, ewentualnie bagaże w zastaw wzięli! Tak więc po długich a ciężkich cierpieniach wyruszyłem nareszcie z sławetnego miasta Kermanszachu, lecz nie danem mi było dotrzeć już bez przygód do Teheranu. Teraz dopiero zaczęło się najgorsze.

Samochód — nic nadzwyczajnego, nie wyglądał jednak na najgorszy. Z tyłu uplasowała się rodzina jakiegoś mułły perskiego. Papa mułła i paroletni synalek ubrani w długie do kostek sięgające kolorowe hałaty, w czerwonych opasanych zielonym turbanem myckach na głowie, mama w czadrze i mała córeczka też w jakimś egzotycznym stroju. Z przodu, koło szofera naturalnie moja osoba.

Jednak radość wyjazdu zostaje mocno przyćmiona wiadomością, że jedziemy tylko do Hamadanu, skąd będzie mnie już ekspedjować tamtejsze biuro. Zawisł nad głową niczem miecz Demoklesa ponowny nocleg „na gapę" w Hamadanie.

A jeżeli się powtórzą te same historje co w Kermanszachu?"

Tego rodzaju myśli nie wpłynęły bynajmniej na mój dobry humor.

Tymczasem jechaliśmy szeroką doliną, zbliżając się powoli do widniejących na widnokręgu szczytów górskich.

Z samochodem zaczęły się dziać jakieś dziwne rzeczy. Regularnie co kilkanaście minut pękała guma, to też nic dziwnego, że wlekliśmy się w iście żółwiem tempie, i do małej wioszczyny, położonej u podnóża gór dojechaliśmy już o zmroku. Tutaj całe towarzystwo poszło na kolację, ja zaś uciąłem sobie pogawędkę z jakimś przejezdnym żydem perskim, który jako że żyd, więc po niemiecku gadał.

Opowiedział, mi jak to rok temu w grudniu, w tej samej wiosce musieli dwa tygodnie siedzieć odcięci zaspami śnieżnemi od świata. Nie nastroiło mnie to naturalnie optymistycznie do dalszej podróży w górach.

Zaczęła się drapaczka po krętych serpentynach. Z dala, gdzieś jakgdyby z czarnej próżni błyskają od czasu do czasu reflektory samochodów, zimny wiatr przenika i przewiewa, serpentyny zdają się końca nie mieć.

Znowu reparacja gumy. Wściekły wiatr gwiżdże w otwartym samochodzie. Nie pomagają płaszcze i nasunięte na uszy czapki. Zimno jest djabelnie.

„Co roku kilkanaście osób zamarza na śmierć na tej drodze" mruczy z tyłu żydek.

„A żeby cię gęś kopła" odpowiadam mu po polsku wtulając się coraz głębiej w siedzenie.

Reparacja koła przeciąga się w nieskończoność. Okazuje się, że coś tam do siebie nie pasuje. Szofer nasz co raz woła na pomoc kierowców przejeżdżających ciężarówek. Złażą, oglądają, coś tam pomogą i znów jadą dalej, a my marzniemy za wszystkie czasy.

Wkońcu — nareszcie! Zsiniały z zimna szofer siada przy kierownicy i ruszamy. Jeden zakręt, drugi i... Bęc — znów stoimy. Przednie opony są zdarte na siatkę, więc nic dziwnego. Zaczynam się tylko poważnie bać co to będzie gdy zaczniemy zjeżdżać w dół! W tych ciemnościach, niech niedaj Boże nawalą obydwie kichy naraz — i co tu dużo gadać, marmolada by się z nas gdzieś w jakiejś dziurze zrobiła!

Reparacja jakoś trwała teraz krócej. Znów jedziemy, by po pięciu minutach stanąć. „Do stu tysięcy..." chciałem już zakląć, gdy się okazało że to nie guma, tylko przymusowy nocleg. Szofer też widocznie był w poważnych strachu i wołał nie ryzykować.

Wychodzę i rozprostowuję zsztywniałe z zimna gnaty. Przed nami jakaś ciemna masa, niby dom, niby szałas, z niej gdzieś jakiemiś szparami sączy się anemiczne światło. Na progu ukazuje się jakaś postać. To ubrany w sięgający do ziemi, sztywny barani kożuch, właściciel „zajazdu" zaprasza nas do środka. Koślawe schodki, ciemna, pełna przeróżnych zapachów sień i odsłoniwszy zrobioną z szmat „kotarę" znaleźliśmy się w „izbie gościnnej".

Widywałem czasem na obrazkach rekonstrukcje przedhistorycznych izb naszych prapraszczurów z epoki kamiennej — w zupełnie identycznym środowisku znalazłem sie teraz.

Wchodziło się na środek izby kształtu czworograniastego. Podłoga z udeptanej gliny, naokoło zaś półmetrowe gliniane podwyższenie do siedzenia i spania. Poprostu siedzi się na brzegach dziury, mając na jej dnie nogi. Leżą jakieś wpółzgniłe maty, dziurawe dywany. Z tyłu olbrzymia dziura, prawie dwa razy tak duża jak drzwi, niczem nie zasłonięta — taki swoisty lufcik na świat. Naturalnie wobec takiego faktu temperatura w izbie nie wiele różni się od temperatury na dworze.

Z boku stoi olbrzymi samowar, koło którego uwija się gospodarz szykując nam „czaj". Zasiadamy w kółko pogrążając się w zadumie. Zimno, głodno — djabli nadali taką jazdę!

W końcu czaj gotów. Rzucamy się na niego jak dzikie zwierzęta. W mgnieniu oka wypijam kilkanaście szklaneczek rozkosznego trunku, następnie jeszcze parę jajek na twardo i trzeba pomyśleć o śnie.

Gospodarz stawia na środku żelazny garczek z palącym się jałowcem. Wyciągamy do niego ręce i nogi. Dym gryzie okropnie w oczy, zaczynają gryźć również pchły.

Szofer skulony w kucki zasypia na podłodze tuż koło ognia, żydek skulił się na ławie. Ja owijam się w płaszcz i układam moje zbolałe i przemarznięte gnaty w jak najwygodniejszej pozycji. Oby choć trochę zasnąć!

Panuje dziwny półmrok, od czasu do czasu błyskają iskierki z dogasającego jałowcowego ognia, wokoło snuje się gryzący dym, zacierając kształty postaci.

W kącie kiwa się na rozłożonym dywaniku mułła, mrucząc pod nosem modlitwy do Allacha. W ciemnościach zdaje się upodabnia do bożka czy też nakręconej lalki. Obok mnie postękuje jakiś chory, którego oczy błyszczą tylko gorączkowo w ciemnościach.

Przypomina mi się podobny nocleg w moim życiu, pod samym szczytem Howerli, w dawnym schronie wojennym, — w towarzystwie paru huculów. Czarne oczy, wąsiska, krucze czupryny, pełzający na wszystkie strony dym z ogniska, a na dworze szum wichury i trzask piorunów...

Dym staje się coraz gęstszy, robi się już prawie zupełnie ciemno. Mułła wciąż jeszcze się kiwa, zimno paskudne, nie pomaga nawet zupełne obwinięcie się płaszczem, tembardziej, że pchły gryzą coraz nachalniej.

Dziwny nocleg w dziwnem towarzystwie...

A jednak zmęczenie przemogło. Zasnąłem by się obudzić dopiero o świcie. Blade promienie wdzierają się do izby przez gęste szpary, towarzysze podróży krzątają się już, a gospodarz nastawia nieodzowny czaj.

Rozprostowuję zbolałe kości i wychodzę odetchnąć świeżem powietrzem.

Jesteśmy na wysokości jakichś 3000 metrów. Pod nami morze mgieł i chmur zasłania zupełnie widok. Wokoło szare, pokryte śniegiem szczyty górskie, śnieg jest wszędzie, u naszych stóp rozpościera się jego wielkie białe pole, parę mizernych drzewek rosnących koło chałupy, mimo, że jest już maj, nawet listków nie wypuściło. A zimno rzeczywiście paskudne, w nocy zamarzła woda w samochodzie — właśnie szofer biedzi się nad rozgrzaniem jej! Ale jest cudnie. Mgły i mgły, wokoło. Słońce jeszcze wzeszło. Jak na jakiejś wyspie bujamy się wśród sino szarych skłębionych fal!

Znów nieskończona porcja herbaty i ruszamy dalej. Jestem zadowolony. Po pierwsze przeżyłem noc — jaką w normalnych warunkach byłaby nie do pomyślenia, po drugie odpadł ewentualny nocleg w Hamadanie, którego tak się bałem. Byle zdążyć do miasta na jakąś dziewiątą, a może złapię odrazu połączenie z Teheranem!

Znowu serpentyny, lecz tym razem już zjeżdżamy. Wgryzamy się powoli w mgły, tracimy z oczu cały świat. Wreszcie przy pierwszych blaskach przezierającego przez szara zasłonę słońca dostajemy się na nizinę hamadańską.

Zostały za nami sine szczyty górskie, niezapomniane wspomnienia przygody...

Droga prościutka, wśród uprawnych pólek, wśród okolonych zielonością czajkhane. Małe karawany wielbłądów, stada baranów, piesi podróżni... Zdala, na widnokręgu zaczynają majaczyć ośnieżone szczyty.

Jeszcze dwa, czy trzy razy pękła guma, nim wreszcie wjechaliśmy w kręte uliczki Hamadanu. Miasto jest tak zbudowane, że chcąc się dostać do jego centrum trzeba go dookoła objechać wązkiemi uliczkami. Z za wysokich, glinianych murów zwisają gałęzie drzew, wszedzie pełno zieloności, kwiecia.

„DWADZIEŚCIACZTERY GODZINY CIĘŻARÓWKĄ"

Zajeżdżamy prosto pod biuro podróży, gdzie pcham się odrazu z mojemi bagażami. Widok ten sam co i w Kermanszachu, nawet bubek urzędujący bardzo jest podobny do tamtego! Okazuje się, że samochodu jeszcze niema, ale może w południe będzie. Decyduje się więc czekać w biurze, jednak już po godzinie oświadczają mi, że dziś połączenia z Teheranem niema, może będzie jutro ale to nic pewnego.

Nie zrobiło już to na mnie żadnego wrażenia, byłem przecież przygotowany na wszystko. Spytałem się tylko o dobry hotel i poleciłem w razie gdyby samochód się znalazł, by dali znać.

Hotel był nowy, jeszcze właściwie zupełnie nie wykończony i byłem zdaje mi się pierwszym gościem. Dostałem porządny pokój, zjadłem niezły objad i ruszyłem na miasto rozejrzeć się trochę.

Miasto robi wrażenie czyste, widać usiłowania europeizacji w postaci nowobudujących się domów, szerokich ulic. W środku olbrzymi skwer z klombami pełnemi kwiatów i z wielką fontanną, sklepy, kino, restauracje. Tuż nad miastem zawieszony olbrzymi szczyt górski okryty śniegiem, przytłacza widnokrąg. Niedługo trwała jednak przechadzka, gdyż zapędził mnie do domu ulewny deszcz, a zaraz potem grad. Tegom się tutaj nie spodziewał. Czarne chmury, raz za razem bijące pioruny, ulewne strugi deszczu, przemieniające niebrukowane ulice w rwące potoki — ot wiosenne rozkosze tego kraju.

Wieczorem machnąłem się do kina. Najdroższe miejsca na balkonie. Brudno, pełno odpadków i pcheł. Publiczność rozkoszna, zebrana na dole „proletarjat" ryczy i bije brawa przy każdej okazji, a od czasu do czasu wybucha awantura. Góra, czyli elita przedstawia się lepiej. Parę europejskich sukien (ormianki) zachowaniem nieco lepsze — chociaż też można by wiele powiedzieć. Film dźwiękowy, upstrzony napisami w języku francuskim, perskim i rosyjskim. Co kto woli, na dodatek jeszcze dla nie umiejących czytać jest specjalny speeker, odczytujący na głos wszystkie napisy.

Zato prawdziwą rozkosz sprawiły mi tutejsze papierosy. Monopolu niema, w każdym skleniku siedzi robotnik kręcący na oczach publiki tytoń. Można sobie wybrać według gustu — trochę tego, trochę z tamtego. Płaci się tak śmiesznie niskie ceny, że aż wierzyć się nie chce!

Na drugi dzień rano poleciałem znów do biura, gdzie mi powiedziano, że nie przypuszczają, by dziś był samochód. Zacząłem więc nalegać, żeby może wyekspedjowali mnie ciężarówką lub wszystko jedno czem, bo nie mam zamiaru tu do nieskończoności siedzieć.

Poskutkowało to widocznie, gdyż już w południe zjawił się w hotelu chłopak z zawiadomieniem, że samochód czeka.

Nastąpiła dosyć ciężka chwila załatwiania rachunku z gospodarzem. Lecz i na to znalazłem sposób. Miałem mianowicie polską dziesięciozłotówkę w bilonie, której nigdzie zagranicą zmienić nie mogłem. Pokazałem mu ją i w wielojęzycznej mowie wytłumaczyłem, że posiadam tylko polskie pieniądze, które tylko w Teheranie będę mógł zmienić, wobec tego dopiero stamtąd przyślę mu należność. Speszył się gość trochę, ale cóż miał zrobić — zgodził się, i ja z lekkiem już sercem pomaszerowałem do biura, gdzie wręczono mi [illegible] tumanów (waluta perska równa ok. 4 złotym) jako zadatek dla szofera ciężarówki, którą miałem jechać. Nareszcie miałem jakieś pieniądze przy duszy, gdyż po wczorajszym kinie dosłownie złamanego szeląga nie posiadałem.

Ciężarówka, jak to ciężarówka. Właściciel i szofer wyglądali dosyć przyzwoicie, więc zapowiadało się wszystko dobrze.

W trójkę zajęliśmy miejsca w budce szofera i ruszyłem w ostatni etap podróży do Teheranu.

Trudno wymagać od ciężarówki by jechała 60 km/godz., wlekliśmy się więc odpowiednio wolno, a było przecież do przebycia przeszło 400 klm.

Po drodze pełno czajkhane z szumnemi napisami „hotel", od czasu do czasu spotyka się żelazny szkielet spalonego wozu, czasem jakaś ciężarówka tkwi nosem w przydrożnym rowie — normalne widoki na tej drodze, która jest najruchliwszą arterją Persji, a nie będąc zbytnio bezpieczna powoduje corocznie masę wypadków.

W jednej z czajkhane stajemy na posiłek. Osoba moja, jako europejczyka, zwraca ogólną uwagę gości. Siadam na drewnianej ławie wysłanej dywanem i zabieram się z apetytem do perskich specjałów. A więc na pierwszy ogień kwaśne mleko, sporządzane tutaj z mleka przegotowanego i mające świetny kwaskowaty smak. Je się nie łyżką, lecz bierze się płaski chleb tutejszy, zwija się go w trąbkę, do środka dodaje trochę zieleniny (mięta) i taką dopiero łyżką posługuje się człowiek. Rezultat jest doskonały, potem nieodzowne jajka na twardo, no — i czaj.

Właściciel samochodu pochodzi z Rosji, skąd uciekł przed prześladowaniami, zostawiwszy tam całą rodzinę, szofer również kończył kursa samochodowe sowieckie. Jako, że coś niecoś po rosyjsku kapuję, więc konwersacja była całkiem ciekawa i droga nie dłuży się chociaż. Paskudnie tylko niewygodnie, gdyż siedząc w środku, znalazłem się akurat na szczelinie między dwoma siedzeniami!

Przejechawszy w szerz całą hamadańską dolinę, bardzo urodzajną i stosunkowo bujnie zaopatrzoną w roślinność, zaczęliśmy się znów drapać w góry. Nie szło to naturalnie lekko. Ciężarówka sapała i skrzypiała, coraz to trzeba było stawać, by ochłodzić trochę motor, małe nieraz odcinki przebywało się w tempie iście ślimaczym! Ale cóż robić, grunt to że jechałem i miałem nadzieję już nareszcie dotrzeć do Teheranu, gdyż jak mnie szofer zapewnił nigdzie po drodze nie będziemy się zatrzymywać.

Góry gołe, kamieniste, ponure. Już pod wieczór wjechaliśmy w wąwóz rzeczny, który miał nas zaprowadzić na nizinę ciągnącą się do samego Teheranu. Z lewej strony spiętrzony blok skał, z prawej gdzieś o trzydzieści metrów w dole pieniące się fale rzeczki. Droga wązka i kręta nie robi wcale przyjemnego wrażenia. W pewnej chwili pokazują mi leżącą w dole, na drugim brzegu rozbitą ciężarówkę. Zleciała z 30 metrów, przeskoczyła rzekę i dopiero na tamtej stronie ugrzęzła — a co ciekawsze, że podobno nikomu nic się nie stało. Wypadek jeden z wielu. Szoferzy wolą jeździć nocą, bo z daleka już widzą światła reflektorów nadjeżdżającego z przeciwnej strony wozu, przez co nie narażają się na zderzenie gdzieś na jakimś zakręcie, lecz zato od czasu do czasu zmaga ich sen przy kierownicy, no i wtedy wypadek murowany. Naturalnie nie dodaje to człowiekowi bynajmniej otuchy!

Wkońcu wjeżdżamy już w samą dolinę rzeki. Z drugiej strony dziwne góry, zbudowane z wyraźnych warstwic, z których każda ma inny kolor. Dominuje seledynowo zielona barwa, jakgdyby osiadła na zboczach śniedź. W dole, nad błotnistemi brzegami rozsiadły się tarasowato maleńkie półka ryżowe. Jedno nad drugiem, niby schody wiodą aż po samą drogę.

Zapadła noc, lecz chwała Bogu wyjechaliśmy już z gór, i posuwamy się niziną.

Koło północy zajeżdżamy do Kazwinu, wielkiego handlowego miasta Persji. Już tylko 140 klm. do Teheranu, powinniśmy być w nim nad ranem. Nareszcie!

Suniemy pustemi i ciemnemi ulicami. Żywego ducha nie widać. Wokoło niskie, parterowe domki, a właściwie sklepy, pozamykane drewnianemi żaluzjami. Cisza zupełna.

Przejeżdżamy jakąś bramę, czy też rogatkę, i znów znajdujemy się w gołem polu. Droga robi się fatalna, coraz przecinają ją strumienie górskie, przez które trzeba przejeżdżać grzęznąc w wodzie, mule, i naniesionych kamieniach prawie po osie. Ruch jednak stopniowo wzrasta, coraz to mijają nas samochody, ciągną niczem widma nocne w takt jękliwego dźwięku dzwonków długie karawany wielbłądów.

Och ta droga! Rzuca nas we wszystkie strony, szofer nie może się czasem zorjentować, którędy ma przejechać rwącą rzeczkę.

Wreszcie widocznie dopiekło mu siedzenie bez przerwy 14 godzin przy kierownicy, gdyż stajemy przed pierwszą z brzegu czajkhane. Trzeba trochę odpocząć.

Znowu świetne kwaśne mleko i nieodzowny czaj i idziemy spać. Lokuję się na łożu zbudowanem z pustych bidonów od benzyny, i przykrytych jakimś starym dywanem. Nie jest chociaż tak zimno jak w górach. Szofer już chrapie, trzeba więc i mnie spróbować, a może się uda...

Zbudzono mnie o świcie. Dochodziła czwarta, spałem więc tylko dwie i pół godzin, ale przy moim zmęczeniu i to „coś znaczy".

W szarych blaskach wschodzącego dnia, rozglądam się po mijanej okolicy. Z lewej strony, w odległości jakichś 40 klm. skalna ściana gór, nigdzie nie przerwana, jednej wysokości, goła i sroga. Z prawej strony zaczynają się pojawiać pierwsze ślady i odnogi pustyni. Mijamy jeszcze zdala położone wioski i rozsiadłe przy drogach czajkhany, lecz pustynia zaczyna powoli to wszystko wypierać. Droga tak samo podła jak i za Kazwinem. Co chwila przecinają ją górskie strumienie, a do tego cała pokryta jest jakgdyby rowami o średnicy 10 cm., leżącemi jeden za drugim. Trzęsie więc niemiłosiernie!

Zaczynamy się powoli zbliżać do gór, by o siódmej dotrzeć do położonego u ich stóp Keredżu. Ostatnia miejscowość przed Teheranem. Jest to właściwie jeden wielki ogród. Domki ukryte wśród bujnej zieloności, wokoło drzewa, laski...

Mijamy wystające pasmo górskie i znajdujemy się już na pustyni. Jak okiem sięgnąć piach, porosły zrzadka jakiemiś zielskami, rosnącemi jak bukiety. Kurz coraz większy a i gorąco wzmaga się ciągle. Mijamy pełno podróżnych, pieszych i na osłach, zaczynających się pojawiać niewidziane dotychczas prywatne samochody. Zbliżamy się do stolicy państwa Lwa.



Brama wjazdowa do Teheranu.

Naturalnie wypatruję miasta na wszystkie strony, lecz jakoś mimo najszczerszych chęci nic nie mogę zobaczyć, prócz piachu i kurzu.

Gdzieś w górze zawarczał samolot, niczem pierwsza jaskółka, bo w tej chwili trąca mnie szofer i pokazując przed siebie ręką oznajmia „Teheran".

Gdzie do licha — nic nie widzę! Trochę drzewek, jakiś komin fabryki, czy też minaret meczetu i nic w

Przekonałem się dopiero, że to prawda, gdy zatrzymaliśmy się na przedmieściach, przed jedną z dwunastu bram wjazdowych Teheranu. Miasto położone jest w kotlinie, ukryte wśród drzew, nie posiadające wysokich gmachów — więc rzeczywiście trudno je spostrzedz nawet z niedalekiej odległości!

Olbrzymia brama wjazdowa, obłożona kolorowemi kafelkami w tonie niebiesko-zielonym, z powypisywanemi surami koranu. Oto moje pierwsze wrażenie z Teheranu!

Tak więc po wielu perypetjach i przygodach nareszcie dotarłem do celu, że to się odbędzie ciężarówką, nigdybym nie przypuścił, ale trudno — różne są koleje losu.!

ALEKSANDER GROBICKI

Operacja na pełnem morzu

Znajdujący się w podróży na połudn. Atlantyku okręt motorowy „Waltraute Horn" zawiadomiony został drogą radjową, że na pokładzie żaglowca angielskiego „Blairspey" płynącego w odległości 60 mil morskich, jeden z członków załogi zachorował na zapalenie ślepej kiszki i konieczną jest natychmiastowa operacja.

W ciągu paru godzin okręt „Waltraute Horn" przybył na miejsce; znajdujący się na jego pokładzie lekarz przystąpił natychmiast do operacji, która też doskonale się udała, poczem oba statki popłynęły, każdy w swoją drogę.

Nazajutrz „Blairspey" przesyła drogą radjową następujący komunikat o stanie zdrowia pacjenta:

„Stan doskonały, tętno dobre. Czy można mu dać porcję beefsteaku?"...

4 gramy radu dla szpitala

Anonimowy ofiarodawca przesłał temi dniami do słynnego szpitala Westminster w Londynie 4 gramy radjum, przedstawiające wartość około miljona złotych.

Przesyłka mieściła się w specjalnie skonstruowanej ochronnej rurce, wyłożonej u spodu grubą warstwą złota, celem skoncentrowania promieniowania radu w jednym tylko kierunku.

Chleb, detektor i areszt...

Jest taka nowelka polskiego pisarza, osnuta na tle prawdziwego zdarzenia. O takim bezrobotnym mechaniku, czy ślusarzu, co sobie pokryjomu majstruje detektor, aby słuchać Raszyna. Oczywiście łapią nieboraka, zabierają mu aparat, a nawet pakują do aresztu, jako, że nie miał z czego zapłacić kary.

Ledwo znalazł się na wolności, — zabiera się znów do roboty: jest drugi detektorek! Ale „władza" ma już na n..go oko: ponowna kontrola, konfiskata, areszt... i historja powtarza się „da capo". Nie pamiętam zakończenia tej nowelki, ale przypuszczam, że wygląda ono tak mniejwięcej: Polskie Radjo posyła upartemu bezrobotnemu kompletny detektor i przynaje mu półroczny bezpłatny abonament...

Bo pomyślcie tylko: takie biedaczysko, co świeci gołemi palcami w podartych butach, za ostatnie może grosze kupuje nie chleb, nie wódkę, nie papierosy, — ale potrzebny materjał do zmajstrowania sobie akurat detektora. I to nie na handel, nie dla zarobku — jakby się zdawało, — lecz dla własnej przyjemności. Odbiorą mu aparacik, zamkną go nawet, — nic to, zrobi drugi, i trzeci nawet, jeśli będzie trzeba. A co z tego ma, tak biorąc na chłopski rozum? Tylko kłopoty, kontrole, protokoły...

Ma jednak coś więcej: żywy kontakt ze światem, z tym światem, niedosępnym dla niego, a jakże ciekawym i wartym poznania! Bo chyba nie poto tylko zasiadał przy detektorze, by słuchać muzyki salonowej, czy orkiestry z Adrji! On uważa radjo za jedyny łącznik z życiem bieżącem, które wyrzuciło go poza nawias, za jedyne, a wszechstronne źródło informacji we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Więc jakże go tu karać za ten jego pęd do wiedzy, do oświaty i nauki? Raczej dopuścić go do tego zakazanego chwilowo źródła: człowiek ten, skoro znajdzie możność zarobkowania, stanie się najwierniejszym abonentem radja, bo bez niego obejść się nie może.

Przypomniała mi się ta nowelka, kiedy przeczytałem niedawno ciekawy artykuł w wiedeńskim czasopiśmie *„Radio - Woche"*. Autor artykułu zastanawia się nad tem, jakie powody skłaniają austrjackich radjoabonentów do rezygnowania z abonentu. Otóż najważniejszy argument brzmi mniejwięcej tak:

„Wypowiedziałem abonament, bo sprzedałem radjoodbiornik, aby z uzyskanej za to kwoty zakupić najpotrzebniejsze artykuły pierwszej potrzeby".

Możnaby dyskutować nad tem, czy sytuacja ekonomiczna naszego kraju jest w tej chwili o wiele korzystniejsza niż maleńkiej coprawda, ale uprzemysłowionej Austrji, ciągnącej przytem duże zyski ze silnego ruchu turystycznego.

Gdybyśmy zaś chcieli wnioskować o stopniu kultury obu krajów na podstawie stopnia rozpowszechnienia radja — to liczba 550 tysięcy radjoabonentów przy siedmiu miljonach mieszkańców w Austrji, a 400 tysięcy w 33-miljonowej Polsce ma swoją wymowę.

A jednak w Austrji sprzedaje się odbiorniki, by za uzyskane pieniądze kupić chleb, — a w Polsce bezrobotny buduje sobie sam detektor, kosztem osobistych prywacyj!

Zapewne, — jest to wypadek odosobniony, — ale jakże charakterystyczny. Pozwala on snuć jaknajbardziej optymistyczne wnioski co do przyszłości i rozwoju naszej radjofonji. Kiedy mała Austrja ma już rynek wewnętrzny niemal w zupełności nasycony, — to u nas otwierają się dla radja niemal nieograniczone możliwości.

Radjo w Polsce stało się naprawdę artykułem pierwszej potrzeby!

Trzeba to sobie uprzytomnić, z tem się liczyć i do tego dostosować dalszą politykę. A pierwszym, rozstrzygającym na przyszłość krokiem byłoby — mojem zdaniem — obniżenie abonamentu, uprzystępnienie radja jaknajszerszym masom. A przynajmniej stosowne różniczkowanie: niechże ten bezrobotny, co z niemałym nakładem pracy skonstruował sobie prymitywny detektor, nie będzie taktowany na równi z posiadaczem luksusowej super - super - heterodyny!

Niechajże to radjo „zabłądzi pod strzechy" i na poddasza, niechaj stanie się dobrem ogółu, — artykułem piewszej potrzeby, której zaspokojenie leżeć będzie w granicach możliwości nie 400 tysięcy, ale 4 miljonów obywateli!

(Lucy)

Kropka bez i...

Zawody balonowe o puhar Gordon-Bennetta, tak dziś w Polsce aktualne, a w których to już **poraz trzeci** biorą udział i zwyciężają nasze balony, zaważyły również . na wyborze sztuki dla Teatru Wyobraźni. Ubóstwo — jak mi się zdaje — naszej rodzimej produkcji na powyższy temat, skłoniło czynniki kompetentne do wyszukania wśród literatury zagranicznej stosownego utworu, którego tłumaczenie odpowiednio przystosowane, przypadłoby do smaku aktualnie zainteresowanym słuchaczom. — Rzecz słuszna i całkiem oczywista. Nie wiem tylko, dlaczego wybór padł na „Białą plamę"? Czyżby naprawdę na ten temat **nic innego** znaleźć nie było można? Znamy w twórczości dramatycznej szereg sztuk i utworów, o których zwykło się mówić, że brak w nich **„kropki nad i"**. O tem natomiast słuchowisku — mam na myśli ten kształt, jaki został wystawiony na deskach Teatru Wyobraźni — możnaby powiedzieć, że brakło w niem litery i pod postawioną kropką.

Nie wystarczają bowiem ludziom postronnym, fragmentaryczne strzępy ekspresji dramatycznej, uwypuklonej zresztą doskonałą grą artystów, do wytworzenia sobie obrazu koncepcji autora. Niezbędna jest do wywołania u słuchaczy wrażenia **zwartej całości,** sensowna jednolitość kompozycji. A tego trudno się było dopatrzeć w powyższem słuchowisku. Istotnie tkwiła w niem **biała plama,** która swą jaskrawością przysłaniała kompozycyjną jedność „Białej plamy". Wprawdzie manja **niedomówień w sztuce** zatacza coraz szersze kręgi, jednak należy z całą stanowczością stwierdzić, że niedomówienie słowne może być nieraz **dobrym środkiem artystycznym (oczywiście w odpowiednio umiejętnem opracowaniu),** natomiast niedomówienia ideowe, czy treściowe, łatwo prowadzą na bezdroża myślowe. Nawet lekkie zaznaczenie w utworze tej natrętnej maniery, staje się wreszcie niemiłe i **nużące.**

Takie postawienie sprawy stanie się jaśniejszem, skoro zrozumiemy, że drobne niedociągnięcia w sensie czy idei treści, w konsekwencji prowadzić mogą do raczenia nas utworami a la **wierszyk o dzięciole-telegrafiście** (który z kapitalnym humorem podała swego czasu Wesoła Syrena w **„Procesie grafomanów"),** ale **na serjo.** A przecie zawsze znajdzie się gromadka snobów, którzy z dobrą miną będą temu wrzaskliwie przyklaskiwać, nie wiedząc, w czem rzecz. Zbyt może ostro wyłuszczyłam swój pogląd na tę sprawę, wszakże sądzę, iż czasem właśnie tak dobitnie trzeba zilustrować zajęte stanowisko, dla dokładnego jego określenia.

Niezmiernie interesującą radjową nowością są t. zw. **„Migawki regjonalne",** nadawane w każdą niedzielę z prowincjonalnych rozgłośni. Sama nazwa poniekąd określa ich charakter, choć czasem mówi zbyt mało, tak, jak to było tydzień temu, gdy Lwów zatytułował swe Migawki **„Dancing w składzie opału".** Był to naprawdę udatny, żywy i barwny obrazek o głębszem podmalowaniu ideowem, dając wgląd w bytowanie Lwowa, a to jego części mniej oficjalnej i raczej prawie niedostępnej pobieżnym obserwacjom. Ten humorem zaprawiony wycinek życia, tętniącego rozmachem i w swym rodzaju charakterystycznego, **z podstawowem, społecznem uzasadnieniem,** choć zupełnie bezpretensjonalny, w pełni przyniósł chlubę swemu twórcy **(W. Budzyński) i rozgłośni,** która go nadała.

Ulubioną od jakiegoś czasu formą wypowiadania się autorów w radjo, są **reportaże,** kto wie, czy nie dlatego, iż najłatwiej pozwalają na ukrycie prawdziwego literackiego oblicza swych twórców. Pod mało obowiązującą postacią reportażu, można powiedzieć bardzo wiele, a mimo tego nie odsłonić swych zapatrywań i poglądów. By jednak ten reportaż interesował również kogoś poza samym autorem, musi on mieć pewne nieodzowne walory, jak: **ciekawy temat, dobre opracowanie,** przystosowanie do wymagań radja i — co jest może najważniejsze — **dobrego lektora** (niekoniecznie musi to być sam autor!). Wszakże takie idealne zestawienie cech dodatnich trafia się niezmiernie rzadko. Znacznie częściej słuchamy reportaży, którym brakuje jednej — czy nawet więcej — z wyliczonych zalet, albo reportaży, które wcale **nie są** reportażami.

Taką audycją o podwójnie niedostosowanym tytule, był reportaż pod tyt. **„W dżungli poleskiej".** Gdyby tytuł ten zmienić na inny, bez dżungli, a zato z polowaniem i poprzedzić go słowem **„pogadanka"**, wszystko byłoby w porządku. A tak oczekując względnie objektywnego opisu Polesia, usłyszeliśmy nie dla każdego interesujące **wspomnienia z polowania** na kaczki. Że miłe te — dla myśliwców — a smaczne ptaszki, chętniej nurkują we wodzie, niż w gąszczu „dżungli", dla nikogo nie ulega wątpliwościom, szkoda więc, iż nie pomyślał o tem autor, nadając tytuł swym wspomnieniom. Również i odczytanie ich nie należało do najlepszych; takie np. zdanie „wracają tą samą drogą" u prelegenta brzmiało: **„wracajo to samo drogo".** Każdy przyzna, iż jest to już nie wada wymowy, lecz usterki w przygotowaniu pogadanki. — **Państwowy Zakład Hygjeny** w Warszawie, to istna kopalnia fascynujących tematów do reportaży. Nic dziwnego przeto, iż znalazł się ktoś, kto zapragnął je choć częściowo wykorzystać. Pierwszy jednak reportaż zakładu, bardzo ogólnikowy, a przedewszystkiem **nieinteresująco odczytany,** wypadł więcej niż blado. Brakowało mu życia i tempa, tak, jak i autorowi, co do którego miałam podejrzenie, iż po każdem dłuższem zdaniu, zapadał **w lekką wypoczynkową drzemkę.** Miejmy jednak nadzieję, że do następnego zapowiedzianego reportażu autor się wyśpi, lub też radjo ze swej strony dostarczy mu **lektora,** obdarzonego **żywszem usposobieniem.**

IRENA NAŁĘCZ.

Ze świata książki

St. Górniak: Handel detaliczny. — (Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa 1935. Str. 208. Zł. 2.20). — Książka Dra Górniaka jest pierwszem i jedynem dotychczas wydawnictwem, traktującem o tym dziale handlu, który u nas i wszędzie stanowi znaczną większość przedsiębiorstw handlowych. Nasz handel detaliczny zyskał w powyższej pracy podstawy informacyjne. Trudno było dotychczas kupcowi zdobyć potrzebne wiadomości, omawiające organizowanie i załatwianie ważnych spraw, związanych z prowadzeniem sklepu. To też omawiana książka będzie nie tylko wielką pomocą w szkołach handlowych wszelkich typów, ale znajdzie się niewątpliwie w rękach każdego kupca, oraz tych wszystkich, którzy interesują się organizacją i formami pracy handlu drobiazgowego.

Wspomnieć należy, że w zrozumieniu znaczenia, jakie mieć będzie dotarcie książki do rąk każdego z interesowanych, oznaczono za książkę niezwykle niską cenę.

Warszawa, Bouffał, Wisła i t. p. Skąd pochodzi nazwa „Warszawa". Co to znaczy „Poznań". Skąd się wzięło nazwisko „Bouffał". Czy „Wisła" to nazwa polska. Z jakiego źródła wywodzą się najpospolitsze nazwiska i imiona polskie — o tem wszystkiem pisze prof. dr. Kazimierz Nitsch w ostatnim numerze (VII) „Świata i Życia" (Książnica-Atlas). Artykuł ten może być dla wielu czytelników tego pożytecznego wydawnictwa prawdziwą niespodzianką: okazuje się, że filologja, ta „nudna", „sucha" filologja bywa nietylko zajmująca ale i poprostu zabawna.

Poza tem w tymże VII-ym numerze „Świata i Życia" znajdzie czytelnik cały szereg ciekawych artykułów z różnych dziedzin życia i wiedzy, piękne ilustracje, ciekawe opowiadania rozrywkowe na okładce.

Radjofonja francuska na nowych torach

Radjofonja francuska do niedawna jeszcze szwankowała pod niejednym względem: przestarzała aparatura, słaba moc stacyj nadawczych, ubóstwo programów, — wszystko to sprawiało, że radjo francuskie pozostawało daleko w tyle poza niemieckiem czy angielskiem.

Stosunki te uległy ostatnio wyraźnej zmianie na lepsze, — co jest bezsprzecznie zasługą energicznego ministra poczt i telegrafów, p. J. Mandla.

Przez wciągnięcie do zarządu całego szeregu radjosłuchaczy nawiązało radjo francuskie bezpośredni kontakt ze swą klientelą, Życzenia i uwagi radjosłuchaczy uwzględnia się w szerokim stopniu przy układaniu programów Poziom audycyj podniósł się ogromnie.

Najważniejszem jednak dziełem jest bardzo silna rozbudowa wszystkich francuskich radjostacyj, z „Radio-Paris" na czele. Obecnie wszystkie już niemal radjostacje posiadają moc od 80 do 150 kilowatów — dzięki czemu radjofonja francuska stanie się w niedługim czasie jedną z najpotężniejszych na świecie.

Nie zapomina też radjo francuskie o propagandzie zagranicznej: w pobliżu Paryża buduje się obecnie dwie stacje krótkofalowe, każda o mocy 100 kilowatów, z których mowa francuska docierać będzie do najdalszych zakątków całej kuli ziemskiej. Stacja ta, po ukończeniu, będzie najsilniejszą stacją krótkofalową, jaką ani Berlin, ani Rzym, ani nawet Moskwa pochlubić się nie może.

Dodać trzeba, że roczny abonament radjowy wynosi we Francji tylko 50 franków, — a cały dochód płynący z tego źródła obracany bywa wyłącznie na dalszą rozbudowę radjofonji francuskiej.

Dzięki tym ulepszeniom liczba radjosłuchaczy wzrasta w bardzo szybkiem tempie, przekraczając już dwa miljony

(k.)

Ploteczki o modzie

— W sezon jesienny wkraczamy pod znakiem wełny. Materjały wełniane, matowe, puszyste, przyprószone są długim, srebrzystym włosem lub przetykane kolorową nitką w formie maleńkich supełków, często różnobarwnych.

— Z kolorów najmodniejszy bronzowy w bardzo szerokiej skali odcieni. Obok niego granatowy i zielony z delikatnym srebrzystym nalotem.

— Coraz więcej widzi się pelerynek i „capes“, zarówno zupełnie skromnych, wełnianych, jak i fantazyjnych, do sukien wieczorowych.

— Bardzo modne są kwiaty — żywe czy sztuczne, przypinane na lewem ramieniu do każdej strojniejszej sukni. Sztuczne robione z organdyny lub żorżety, — białe, różowe lub błękitne.

— Z nastaniem chłodnych dni pojawiają się ręcznie malowane lub aplikowane apaszki. Nowością są apaszki z aksamitu, lansowane zwłaszcza przez Wiedeń.

— Oryginalną nowością przy płaszczach jesiennych są przybrania futrzane marszczone dokoła szyji. Kołnierz taki musi być naturalnie zrobiony z bardzo cienkiego i miękkiego futerka.

— Dużą rolę grać będą w sezonie jesiennym hafty z jedwabiu, pereł i włóczki, któremi przyozdabia się kołnierzyk i mankiety sukien wizytowych.

— Pantofelki jesienne w kolorach ciemnych: bronzowe, czarne, granatowe. Najmodniejsze są reniferowe. Bardzo elegancko wygląda komplet złożony z torebki, paska, rękawiczek i pantofelków reniferowych.

— Rękawy fantazyjne, marszczone ściegiem ulowym przy samej szyji, rozszerzone dołem, to znów bufiaste, ujęte przy końcu w maleńki mankiecik, lub angielskie, gładkie. Stanowią one zasadniczą, a nierzadko jedyną ozdobę całej sukni.

— Wracają w całej pełni do łaski wszelakie pulowery i swetry, o fasonach prostych, kamizelkowych. Wełny bardzo puszyste, przeważnie włochate.

— Płaszcze jesienne są zlekka wcięte, mają zarówno kieszenie jak i kołnierze stebnowane. Śmiałą nowością są naszywane kieszenie... futrzane.

— Nowością jest też umieszczenie klamerki zapinającej pasek nie sprzodu, jak to bywało dotychczas, — lecz z tyłu. A już wręcz zabawnie wyglądają paski, zamykane dosłownie na kłódkę i kluczyk....

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Marja Cz. Polecamy wydaną świeżo przez Księgarnię św. Wojciecha książeczkę „Kwiaty na codzień“ S. Przyremblanki. — Znajdzie tam Pani dużo praktycznych rad i wskazówek zarówno co do rozmieszczenia kwiatów w mieszkaniu, jak i co do ich pielęgnacji. — O kaktusach są specjalne broszury.

—o—

Jeszcze o kapeluszach

Możnaby o nich pisać całe tomy, — taki olbrzymi jest wybór modeli. A jeszcze lepiej byłoby chyba przerysować choć kilkanaście: każdy w innym stylu, każdy ładny. Jedyne właściwie kryterjum w wyborze — to lustro: musimy przekonać się, w czem nam najbardziej do twarzy, choćby to nie był fason najmodniejszy.

Zasadniczo kapelusze jesienne mają dwie cechy charakterystyczne: są małe i możliwie asymetryczne. Przeważnie odsłaniają zupełnie czoło, co wymaga



naturalnie bardzo starannego uczesania, a staje się trochę kłopotliwem w chłodne i słotne dni jesieni.

Z materjałów najmodniejszym jest obecnie aksamit, — z którym jednak filc konkuruje bardzo silnie. Pozatem widzi się kapelusze z grubych wstążek atłasowych, z błyszczącego lub matowego ciré, z materiałów przerabianych celofanem, — pojawiają się też już pierwsze toczki obramowane futerkiem.

Przybrania dyskretne: skrzydełka lub pojedyncze pióra fantazyjne, klipsy i agrafki metalowe, stylizowane aksamitne kwiaty, niewielkie kokardki.

Kapelusze wieczorowe, prawie wyłącznie aksamitne, przybrane suto piórami strusiemi i rajerami.

Poradnik dla gosposi

MARMOLADA Z DYNI

Doskonałą tę a mało stosunkowo znaną marmoladę robi się w następujący sposób: Obraną ze skóry dynię kraje się na małe kawałki i gotuje bez wody przez pół godziny, aż zupełnie zmięknie.

Na każde 2 kg. ugotowanej w ten sposób dyni bierzemy 3/4 kg. cukru, 2 dkg. sproszkowanego imbieru i sok z jednej cytryny, poczem gotuje się przez jakie trzy kwadranse, aż odpowiednio stężeje.

BUDYŃ GRZYBOWY

Ugotować 5 dkg. grzybów prawdziwych, usiekać je drobno i przesmażyć je z cebulą na maśle. Oddzielnie utrzeć cztery żółtka, dodać grzyby, 1/8 litra śmietany, dwie wymoczone i wyciśnięte bułki, łyżkę usiekanego kopru i pietruszki, posolić, zrównać wszystko na masę i wymieszać lekko łopatką z dobrze ubitą pianą. Gotować w wysmarowanej formie 1½ godziny; gdy ostro gotuje się, w godzinę budyń gotów. Podać z sosem śmietankowym, oddzielnie podać ziemniaki.

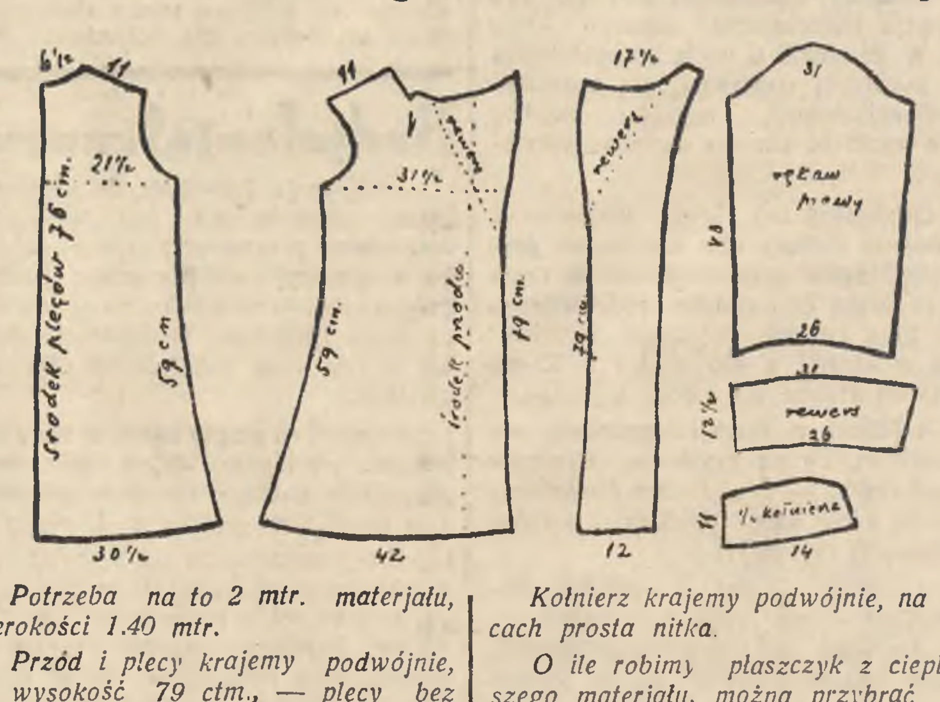
Gotować można też budyń z świeżych grzybków, które udusić wpierw w maśle, zemleć z bułką na maszynie, lub usiekać drobno, dalej postąpić jak z suszonemi grzybkami.

GRZYBY W OCCIE

Oczyszczone i przebrane grzyby płucze się i daje do rynki i dusi przez 30 minut w soku, który z siebie puszczą, poczem układa się je w kamiennym garnku i zalewa gorącym, posolonym octem, w którym gotowały się korzenie, pieprz, angielskie ziele i cebula. Gdy grzyby ostygną, zawiązuje się garnek papierem.

Płaszczyk dla dziewczynki 12-letniej





Potrzeba na to 2 mtr. materjału, szerokości 1.40 mtr.

Przód i plecy krajemy podwójnie, na wysokość 79 ctm., — plecy bez szwu. Środek przodu w odległości 8 ctm. od brzegu. Zapina się na 4 guziki

Manszety prosta nitka, długość zależy od wzrostu dziewczynki, — na naszym wzorze mierzą one 52 ctm. w najwyższym punkcie.

Kołnierz krajemy podwójnie, na piecach prosta nitka.

O ile robimy płaszczyk z cieplejszego materjału, można przybrać go kołnierzem futrzanym.